TYGODNIK ŁÓDZKI

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

odgłosy

Rok VI.
Łódź, 31. III. 63.
Nr 13 (265)
Cena zł 1.—

Z OKAZJI 27 MARCA — MIĘDZYNARODOWEGO DNIA TEATRU — SKŁADAMY DYREKCJOM ŁÓDZKICH TEATRÓW NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA NOWYCH AMBITNYCH SPEKTAKLI, AKTOROM ŁÓDZKIM — PIĘKNYCH RÓL I PRZYCHYLNOŚCI KRYTYKI, PRACOWNIKOM TECHNICZNYM TEATRÓW — ŻYCZENIA SUKCESÓW W PRACY ZAWODOWEJ.

REDAKCJA „ODGŁOSÓW"

BOLESŁAW LESMAN

OPOWIASTKI dla dojrzewających ..... RODZICÓW

Oto dwie opowiastki o dzieciach, z których dobry pisarz mógłby stworzyć wstrząsające opowiadania. Są one, w gruncie rzeczy banalne, bo każdy z nas zna takich historyjek sporo. Ale warto im poświęcić nieco uwagi ze względu na ich nietypowe zakończenia i wypływające z nich morały. Te morały dedykujemy dojrzewającym rodzicom i kształcącym się pedagogom.

Opowiastka pierwsza

Elżbieta

(imię zmyślone)

Elżbieta jest zgrabnym podlotkiem, o subtelnej i ciekawej urodzie. Nie miała jeszcze 15 lat, kiedy to matka wyciągnęła ją z pewnego domu na ul. Piotrkowskiej.

Dom był raczej podejrzanej konduity. Schodziły się tam różne kobiety lubiące alkohol i mężczyzn oraz mężczyźni lubiący alkohol i kobiety. Właścicielka mieszkania była osobą wyrozumiałą dla ludzkich słabości. Sama zresztą swoją młodość też dość bujnie przeżywała.

Skąd spotkanie matki z córką w tak dziwnym miejscu? Żeby nie stwarzać niepotrzebnych zagadek, wyjaśnimy to od razu: Elżbietę zaprowadziła tam jej koleżanka, starsza od Elżbiety o kilka lat, a matka trafiła śladem córki, bo ją już od dłuższego czasu śledziła.

Przyszły do domu i wtedy po raz pierwszy w życiu matka zbiła córkę. Elżbieta bez słowa przyjęła swoją porcję.

A nazajutrz znów zniknęła na kilka godzin tak, jak znikała prawie codziennie. I znów matka nie mogła się od niej dowiedzieć gdzie była i co robiła. Odbyło się potem jeszcze kilka awantur i w końcu matka dała za wygraną. Nie miała już siły walczyć o córkę, bo i nie wiedziała jak.

Działo się to wiosną ubiegłego roku. Wkrótce potem Elżbietę wyrzucono ze szkoły, jako że znów nie dostała promocji do klasy siódmej, a ostatnie dwie klasy, piątą i szóstą, „studiowała" już łącznie pięć lat. Zresztą usunięcie jej ze szkoły było aktem czysto formalnym, bo i tak bywała tam niezwykle rzadkim gościem.

Od września Kuratorium skierowało ją do innej szkoły. I tu nie zagrzała miejsca. W ciągu pierwszego miesiąca nauki widziano ją w szkole tylko kilka razy.

Była jednak różnica między poprzednią szkołą Elżbiety, a obecną. Tym razem kierownik szkoły zainteresował się bliżej wagarującą dziewczyną. Próbował z nią kilka razy rozmawiać i chociaż niczego się nie dowiedział, zorientował się, że ma do czynienia z dziewczyną zdolną i inteligentną. Wezwał matkę i poradził jej, żeby zaprowadziła Elżbietę do Poradni Społeczno-Wychowawczej Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

Pierwsze rozmowy i badania w Poradni potwierdziły obserwacje kierownika szkoły. Elżbieta wykazywała normalny dla swojego wieku poziom inteligencji. Stwierdzono u niej ponadto wybitnie pobudliwą wyobraźnię oraz zamiłowania i uzdolnienia plastyczne. Te dwie cechy, przy dużej wrażliwości, pozwoliły sklasyfikować ją jako „jednostkę zdolną do pracy twórczej", a więc raczej nie przeciętną.

Ale nawet doświadczonym psychologom w Poradni nie udało się przełamać skrytości dziewczyny. Informacje o przyczynach załamania się i wykolejenia Elżbiety uzyskano dopiero drogą wywiadu, głównie z rozmów z matką i z pedagogami z pierwszej jej szkoły.

Do piątej klasy Elżbieta uczyła się dobrze. Bez trudności i z dobrymi ocenami zdawała z klasy do klasy. Załamanie nastąpiło w tym czasie, kiedy zaostrzały się awantury i scysje między rodzicami Elżbiety.

Ojciec Elżbiety od wielu lat zdradzał nieco nadmierne skłonności do alkoholu. Kiedy Elżbieta miała 11 lat, pożycie małżeńskie jej rodziców uległo całkowitemu rozbiciu. W domu coraz częściej odbywały się libacje i przychodziły na nie kobiety, które nie bardzo liczyły się z obecnością prawowitej żony i nieletniej córki. W końcu ojciec wyprowadził się z domu.

Od tego czasu Elżbieta zaniedbała się w nauce i jedno-

Dalszy ciąg na str. 6

KRZYSZTOF POGORZELEC

CZY KLIENT BĘDZIE MIAŁ RACJĘ?

Już po raz jedenasty na terenach wystawowych w Poznaniu otwierają swoje pawilony i stoiska handlowe kolejne Targi Krajowe. Tym razem była to „Wiosna 63" wyprzedzająca swoją kalendarzową siostrzycę. Jest to niezwykle ciekawa impreza, od której w dużej mierze zależy... zasobność półek sklepowych. Oto co nam się udało podpatrzeć na „Wiośnie 63".

WSZYSTKO DLA WSZYSTKICH

Tak lakonicznie można określić ekspozycję krajowego przemysłu lekkiego. Przywiózł on do Poznania ofertę w postaci różnych wyrobów odzieżowych, dziewiarskich, i pończoszniczych, przemysłu skórzanego, obuwniczego, galanteryjnego wartości sięgającej 13 miliardów złotych. Wielkość wyrażona w złotówkach, w tym akurat przypadku, jest dość względną wielkością, bo gdyby się pod nią kryły buble — po prostu nic nie byłaby w rzeczywistości warta. Ale:

1.360 modeli odzieży — to wzory zupełnie nowe, świeżo przygotowane przez domy mody i laboratoria przemysłu odzieżowego. Z tych 1.360 modeli — 376 przeznaczono dla pań, 321 — dla mężczyzn, 394 dla młodzieży. Nie zapomniano i o najmłodszych. Dla naszych milusińskich przemysł zaprezentował w Poznaniu 269 nowych wzorów ubranek i odzieży. Czy to dużo? Bardzo! Jest to prawdziwy zwrot przemysłu wobec tej grupy odbiorców. Tym bardziej interesujący, że odzież fabryczna jest zdecydowanie tańsza.

Podobnie jest w przypadku wyrobów dziewiarskich. Wyprodukujemy ich za 3.186 mln złotych. I znowu — zdecydowana większość wyrobów to nowości. Nie zabrakło wśród nich odzieży produkowanej z dzianiny laminowanej pianką poliuretanową — lekką, ciepłochronną. Może zainteresują was także takie propozycje produkcyjne jak bielizna damska z dzianin o wzorach wytrawianych, bielizna i pończochy antyreumatyczne ze specjalnego włókna „Pe Ce".

Na pewno wśród tych wyrobów każdy znajdzie coś interesującego dla siebie.

MATERIAŁ ZAMIAST SKÓRY?

Z dużym niedowierzaniem i — co tu dużo mówić — z pewną ostrożnością oglądaliśmy obuwie przygotowane przez krajowe fabryki butów. Niedowierzania nie był nawet w stanie podważyć i ten fakt, że jest prawdą, że polski przemysł obuwniczy jest jednym z najnowocześniejszych w Europie. Ale, żeby aż taka rewolucja!

To słowo odnosi się nie tyle do modeli — kształtu obuwia, wysokości obcasów, ale do materiału, surowca, z którego przemysł chce wyrabiać sporą część butów. Zamiast skóry proponuje się użycie tkanin, słowem — buty tekstylne.

Już w tym roku ma ich być na rynku około 15 milionów par. Co można o nich powiedzieć? Chyba tylko to, że są bardzo eleganckie i pomyślane w taki sposób, by mogły służyć nie tylko na „po domu" lecz również na wszelkie okazje wizytowe. Zresztą duża ich część jest zręcznym połączeniem skóry z tkaniną. Powiedziałbym, że efekt znakomity i to nie tylko dla użytkownika tego obuwia.

Rachunek jest dosyć prosty: przemysł skórzany jest tym, który w całości opiera swoją produkcję na imporcie surowca. A to już dewizy, ciężkie dewizy. Wystarczy jeżeli powiem, iż na ten cel wydajemy co roku ok. 20 mln dolarów. Wprowadzenie — częściowe tkanin do obuwia pozwoli nam zaoszczędzić 5 mln dolarów rocznie. Nie będziemy musieli kupić około 5 tys. ton skór.

Nie oznacza to oczywiście, że na półkach sklepów nie znajdziecie obuwia skórzanego. W Poznaniu przedstawiono 750 wzorów obuwia, z czego 570 to zupełnie nowe modele. Proporcje tekstylno-skórzane? Po połowie. Z tym, że kierownictwo tego przemysłu też cieplejszym okiem spojrzało w tym roku na dzieci i młodzież. Czyżby dyrektorzy stali się... tatusiami?

Z ZIEMI WŁOSKIEJ... DO POLSKIEJ

Targi są okazją do skonfrontowania pewnych propo

Dalszy ciąg na str. 4

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

BOHDAN PASZKIEWICZ

Nie ma chyba w Polsce widza kinowego dla którego obco brzmi to nazwisko. I każdy chyba widz pilnie śledzący czołówki filmowe pamięta, że widnieje ono poprzedzone napisem „teksty polskie" na bardzo wielu pokazywanych u nas filmach zagranicznych. Pan Bohdan Paszkiewicz jest jednym z sześciu polskich tłumaczy filmowych pracujących w Studio Opracowań Filmów, które w Łodzi mieści się na ulicy Sienkiewicza. „Tłumaczę filmy od lat piętnastu — mówi — rocznie opracowuję około dwudziestu kilku".

Pan Bohdan jest wilnianinem, uczniem Gimnazjum im. Adama Mickiewicza i Liceum im. Sniadeckiego. Maturę i studia na wydziale anglistyki po wojnie skończył w Łodzi.

„Każdy z nas, tłumaczy filmowych — mówi — zna języki konwencjonalne: francuski, angielski, niemiecki i rosyjski. Tłumaczę w zasadzie z francuskiego i angielskiego, nie znaczy to oczywiście bym tłumaczył filmy wyprodukowane przez wytwórnie tylko tych krajów. Każdy film przez nas kupiony — myślę o tych w językach niekonwencjonalnych — wyposażony jest w dwie listy dialogowe. Każdy tłumacz dysponuje listą dialogową w języku oryginalnym, języku filmu i listą dialogową tłumaczoną na któryś z języków konwencjonalnych. Stąd nazwiska nasze widnieją na filmach szwedzkich, japońskich, jugosłowiańskich, meksykańskich, co oczywiście nie znaczy, że języki te znamy". Zasada, według której tłumaczowi przydziela się film jest następująca; znajomość języka i gatunek filmu. „Wydaje mi się — mówi Bohdan Paszkiewicz — że warunek pierwszy — znajomość języka nie jest sprawą tak ważną jak gatunek, genre filmu. Ktoś, kto czuje świetnie komedię, przy doskonałej nawet znajomości języka nie przetłumaczy dobrze filmu psychologicznego, czy obyczajowego. I na odwrót. Jeżeli tłumacz czuje gatunek, czuje atmosferę filmu z trudnościami innymi da sobie radę. Oczywiście, każdy z nas specjalizuje się w pewnych gatunkach filmowych, ma pewnych twórców, których szczególnie ceni i lubi nad ich filmami pracować".

Praca tłumacza filmowego różni się w sposób zasadniczy od pracy tłumacza, powiedzmy, utworów prozatorskich. A cała rzecz jest bardziej skomplikowana niż to się może wydawać. „Nasza praca ma w zasadzie dwa zasadnicze etapy; etap nazwijmy to tak, pracy technicznej i etap opracowania literackiego. Po obejrzeniu filmu i zapoznaniu się z listą dialogową siadam w studio przy stole projekcyjno-dźwiękowym, gdzie bardzo dokładnie oglądając scenę po scenie dokonuję tzw. rozmieszczenia napisów. Cóż to znaczy? Mam specjalne urządzenie dokonujące pomiarów. Mierzę ile metrów taśmy zajmuje jedno zdanie bohatera filmowego, a wobec tego jaką długością taśmy dysponuję gdy będę tłumaczył te teksty na polski. Oczywiście, nie mogę dokonać przekładu dokładnego, który mógłbym umieścić na filmie. Człowiek szybciej mówi niż czyta. Muszę dokonać selekcji i wybrać tylko te kwestie, które są istotne dla filmu". Każdego tłumacza obowiązują pewne, jak byśmy to nazwali, normy techniczne. Wiadomo np., że słowa wypowiadane na 1 metrze taśmy filmowej, a więc trwające około pół sekundy, mogą być przetłumaczone tylko w siedmiu sylabach. Tyle tylko zdoła przeczytać widz. Dlatego każdy napis jest dowolną trawestacją dialogu. A tłumacz obwarowany jest całą masą ograniczeń. Napis powinien być najwyżej półtorawierszowy, dłuższy odrywa widza od sprawy najważniejszej — obrazu, napis powinien sygnalizować pewne treści w sposób prosty i lapidarny. Oczywiście tłumacza obowiązuje maksymalna wierność w stosunku do języka bo dlatego często przestawia pewne kwestie, wraca do niektórych spraw, by możliwie pełnie przekazać problematykę filmu. „Mamy oczywiście cały szereg kłopotów np. w filmach, których bohaterowie mówią bardzo szybko (choćby Włosi) z konieczności trzeba z pewnych treści rezygnować. Napis musi towarzyszyć akcji, musi towarzyszyć odpowiedniej sytuacji. Każda myśl powinna być podana w oddzielnym napisie, tłumaczony dialog musi mieć pewną dramaturgię, zdanie złożone trzeba rozbijać na zdania proste itd. itd. Kłopotów, czy obowiązków wobec tekstu oryginału jest więcej, choćby pewna wierność w stosunku do języka bohaterów, jak w filmach historycznych".

Rozmieszczenie napisów i selekcja dialogu to dopiero początek. Potem tłumacz przystępuje do zasadniczej części pracy — opracowania tekstu polskiego. Tę część pracy pan Bohdan Paszkiewicz wykonuje w domu, najczęściej w nocy. Na biurku piętrzą się stosy słowników, encyklopedii, „oczywiście, mam w pamięci każdą scenę filmu, muszę niejako „pod nią" pisać tekst dialogu". Potem „teksty polskie" zatwierdzone i przesłane do Łódzkiej Wytwórni Kopii Filmowych zostają umieszczone na produkowanych kopiach. „Bardzo nie lubię tłumaczyć filmów, których bohaterowie mówią językiem codziennym kolokwialnym, a więc niechlujnym, nieliterackim. Celne, dowcipne, pointowane dialogi, logiczne i piękne językowo są w gruncie rzeczy łatwiejsze do przełożenia.

Pan Bohdan Paszkiewicz tłumaczył niemal wszystkie filmy Bergmana i jest gorącym wielbicielem twórczości tego reżysera. „Tłumaczę teraz „Twarz" — mówi — (Jest to film metafizyczny, bardzo piękny, ale mam z jego tłumaczeniem wiele kłopotu. Tłumacz powinien przekazać jednak coś z atmosfery językowej, „Twarz" jest filmem XIX-wiecznym, więc kłopoty słownikowe, kłopoty z ogromnie zawiłą problematyką filozoficzną..." Pan Bohdan poza Bergmanem lubi i tłumaczy chętnie dobre kryminały i komedie. Poleca dwa filmy Filipa de Broncca „Kawalarz" i „Igraszki miłosne". „Szkoda — mówi — że do robienia komedii zabierają się często ludzie pozbawieni poczucia humoru. Jako tłumacz muszę powiedzieć, że nawet od przekładającego wymaga się dużo inwencji i polotu".

„No cóż za dobre uważam te filmy, których twórcy mają coś do powiedzenia, jak Bergman, lub coś do pokazania jak Bresson, autor „Kieszonkowca" i „Ucieczki skazańca.

Nie lubię filmów, z których wyziera XX-wieczny moralitet, gdzie pewne określone grupy grają rolę z góry określonych postaci alegorycznych.

Wbrew niektórym snobom jestem pełen uznania dla naszej młodej kinematografii, dla jej odważnych poszukiwań i młodzieńczego ryzykanctwa.

Oglądam filmy polskie bardzo chętnie.Sukcesom zawsze muszą towarzyszyć niewypały, bądźmy więc wobec nich tolerancyjni!.

---

sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

CZY ŁÓDŹ JEST PROWINCJĄ?

Jest. A dlaczego? Bo tego chce. Mówię o tym jako łodzianin z pewną nie bez cienia żalu melancholią. Od lat, od wielu już lat na swoim skromnym odcinku literacko-publicystycznym walczę o to, i namawiam innych do walki o to, ażeby się nie godzić z pojęciem Łodzi jako prowincji. Bo przecież miasto nie potrzebuje być stolicą, ażeby nie być prowincją. Na przykład Krakowa nikt w Polsce nie śmie nazwać prowincją chociaż wiadomo, że Kraków nie jest stolicą. Co o tym decyduje? Życie kulturalne, ambicje twórcze, rola jaką to miasto odgrywa w ogólnym kontekście spraw krajowych. Administracyjna przynależność Krakowa do prowincji wcale nie umniejsza jego znaczenia jako conajmniej równorzędnego z Warszawą ośrodka kulturalnego.

Powiedzmy prawdę: Łódź jako ośrodek kulturalny jest prowincją. I tylko dlatego, że tego sama chce, że na to chętnie się godzi. Kraków nie jest pod tym względem prowincją, bo na to się nie godzi, bo tego nie chce. Kraków nie ogląda się w niczym na Warszawę, Kraków jest samodzielny, krakowski ośrodek intelektualny i naukowy ma wszelkie cechy samodzielności i niezależności od stolicy, Wydawnictwo Literackie w Krakowie jest wydawnictwem ogólnokrajowym, krakowskie „Życie literackie" jest pismem ogólnopolskim. Łódź jako ośrodek intlektualny i naukowy jest echem ośrodka warszawskiego, nasze pisma codzienne są wtórnymi odbitkami pism warszawskich, jak i „Odgłosy" tygodnikiem o zasięgu wyłącznie lokalnym, bo wojewódzkim. Skala wojewódzka — oto granice naszych ambicji i dozwolonych nam możliwości twórczych. Każdą inicjatywę szerszą, wybiegającą swymi tendencjami poza te granice, utrąca się z morderczym dla jakiejkolwiek zmiany pod tym względem przeświadczeniem, że jest to nierealna chimera, niewczesna utopia, do której jeszcze Łódź nie dorosła i na którą nie zgadza się Warszawa.

Ot, i tu leży cały problem prowincjonalności Łodzi. Ta fascynacja Warszawą jako ostatecznym miernikiem wszelkich wartości. To patrzenie na Łódź z pozycji Warszawy — to typowo urzędnicze widzenie rzeczy, te typowo biurokratyczne miary i wagi stosowane w odniesieniu do wszystkiego, co twórcze i samodzielne w Łodzi, do wszystkiego, co przekracza typowo prowincjonalną mimikrę, wynikającą z zapatrzenia się w stolicę, jako ośrodka ostatecznych miar i wartości, z którymi mierzyć się nie godzi, a tylko je naśladować. Naśladować! Naśladować! Być echem! Odbiciem! Odgłosem!

Stąd coraz popularniejsze powiedzenie, że Łódź jest przedmieściem Warszawy. I niektórzy głupcy, mieszka-

Dalszy ciąg na str. 7

„Soldaten-Zeitung" w NRF

Spośród wielu czasopism odwetowych i rewizjonistycznych, wydawanych w NRF, na czoło wysuwa się jedno, szczególnie „zasłużone" w głoszeniu poglądów otwarcie faszystowskich i jawnie szowinistycznych. Jest nim „Die deutsche Soldaten-Zeitung und National Zeitung", które ostatnio ukazuje się pod skróconą, ale jakże wymowną nazwą „Die deutsche National-Zeitung". W nagłówku gazety figuruje jako symbol krzyż żelazny (Das Eiserne Kreuz), przyznawany w latach wojny wielu oficerom za wybitne zasługi w zdobywaniu Francji, Polski, ZSRR i innych napadniętych krajów.

Historia tej gazety liczy sobie już lat 12. Pierwszy numer czasopisma pn. „Die deutsche Soldaten-Zeitung" ukazał się w r. 1951. Ciekawe, że przez pierwsze dwa lata „Gazetę Żołnierską" wydawano za pieniądze amerykańskie. Kiedy jednak przyjaciele amerykańscy postanowili cofnąć przyznawaną subwencję, kierownik wydawnictwa p. Dammerau udał się do Bonn i powiedział w rozmowie z przedstawicielami rządu: „Z propagandą wojskową będzie źle, gdyż z powodu trudności finansowych przyjdzie zamknąć pismo".

Referat prasowy rządu bońskiego nie dopuścił do upadku pisma. Przyznał mu subwencję miesięczną w wysokości 11.000 marek, pobieranych z tzw. funduszu podatkowego. I w ten oto sposób w żagle „Soldaten-Zeitung" zaczął dąć wiatr z Bonn. W r. 1954 powiedziano redaktorom w referacie prasowym rządu: sprzedajcie waszą gazetę kolońskiemu wydawcy pism sportowych, p. Stophowi, za sumę 40.000 marek i dzięki uzyskanej kwocie pokryjecie roczne zadłużenia w drukarni. Ale p. Dammerau nie zgodził się na tę propozycję. Wydawał w dalszym ciągu pismo, najpierw jako dwutygodnik, a później nawet raz na miesiąc. Gazeta uplasowała się na pozycjach skrajnie prawicowych i przeszła do ataku. M. in. „Soldaten-Zeitung" zaatakowała programy radiowe, dowodząc, że „wielką siłą atrakcyjną radia narodowo-socjalistycznego było oparcie się na wybitnych fachowcach, jak np. Joseph Goebbels i na stosowaniu form programu zgodnych z duchem czasu".

Redakcja „Soldaten-Zeitung" nie okazywała radości i zadowolenia z nowych formacji wojskowych NRF. Wyraziło się to w krytyce Bundeswehry za niedostateczne pielęgnowanie znakomitych tradycji żołnierskich z tak niedawnej (czytaj: hitlerowskiej) przeszłości.

Mimo to jednak baza finansowa gazety pozostawiała wiele do życzenia. I oto znalazł się na horyzoncie mąż opatrznościowy. Okazał się nim niejaki Gerhard Frey, prawnik z wykształcenia, człowiek bogaty z domu, który w chwili, gdy Amerykanie wkraczali do Niemiec i Trzecia Rzesza rozpadała się w gruzy, płakał rzewnymi łzami „weil das Vaterland geschlagen ist" (ponieważ kraj został pobity). Frey, który podzielał poglądy dotychczasowego wydawcy „Soldaten-Zeitung" p. Dammerau, wpakował w przedsiębiorstwo 70.000 marek i w ten sposób stał się właścicielem połowy nowego wydawnictwa.

W miarę jak nakład pisma począł wzrastać (dziś drukuje się każdy numer w nakładzie 73.000 egzemplarzy), redakcja coraz bardziej się rozzuchwalała. Kiedy Heuss pojechał do Londynu i spotkał się tam z przyjęciem raczej chłodnym, „Soldaten-Zeitung" pisała: „To jest Heuss, któremu zagranica pluje w twarz jego ojczyzny, a on jej za to dziękuje".

A oto kilka pozycji z obfitego programu działalności redakcyjnej tego pisma. W 115 odcinkach „Soldaten-Zeitung" zajmowała się poszukiwaniem „prawdziwych winowajców wojny". I gdzież ich szukała? Bynajmniej nie wśród wysokich generałów i polityków Trzeciej Rzeszy. Natomiast wśród tych, którzy przeciwstawiali się hitlerowskiemu barbarzyństwu

Zamordowanego w r. 1945 w obozie koncentracyjnym we Flossenburgu generał-majora Hansa Ostera, „Soldaten-Zeitung" nazwała „największym zbrodniarzem w niemieckiej historii". Kiedy prokuratura monachijska zaskarżyła redakcję o uwłaczanie pamięci zamordowanego przez hitlerowców generał-majora, „Soldaten-Zeitung" doniosła o tym fakcie swoim czytelnikom z taką dumą, jakby oto przyznano jej najwyższe odznaczenie państwowe.

Jeden ze współpracowników gazety dr Willy Glasebock ogłosił serię artykułów pt. „Czy tylko Niemcy zawinili?", w której udowadnia, że wina Niemiec jest minimalna, a właściwie żadna. Maluczko, a dowiemy się, że to Polska sprowokowała drugą wojnę światową. (Zresztą podobne poglądy pojawiają się od czasu do czasu w prasie odwetowej). „Soldaten-Zeitung" zaatakowała słynny „memoriał ośmiu", opowiadający się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie, a podpisany m. in. przez światowej sławy fizyka i filozofa Carla Heinricha Weizsaeckera. Dalej. Ilię Erenburga za to, że śmiał w czasie wojny pisywać na łamach „Prawdy" artykuły antyhitlerowskie. Wreszcie telewizję zachodnioniemiecką za to, że niedostatecznie energicznie propaguje wojsko i militaryzm.

Współwłaściciel pisma, Gerhard Frey, powiedział bez osłonek: „Podstawowy trzon naszych czytelników składa się przede wszystkim z byłych żołnierzy i oficerów Wehrmachtu", a o roku bieżącym, że „będzie on rokiem niemieckiej gazety nacjonalistycznej". Cóż do tego dodać? Nic. Komentarze są zbyteczne.

Wg tyg. „Spiegel"

oprac. JOT

---

informacje i zaczepki

W lokalu Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego (Struga 2) eksponowana jest wystawa amatorskiej fotografii holenderskiej. Wbrew przypuszczeniom na wystawie nie znajdziemy oryginalnego krajobrazu Holandii z ciekawą flamandzką architekturą, z wiatrakami, tulipanami itp. Fotogramy są poprawne technicznie i artystycznie, ale jeśli sprowadza się ekspozycję z zagranicy warto pomyśleć o jakiejś tematycznej jednolitości. W przyszłym miesiącu ŁTF otwiera doroczną wystawę prac swoich członków. Mamy nadzieję, że na tej wystawie nie zabraknie zdjęć z naszego nie najbrzydszego przecież miasta.

●

Niedawno przeczytaliśmy w pewnej recenzji, że książka Adama Leśniewskiego o Akademickim Związku Walki Młodych ukazała się w XX rocznicę powstania AZWM. W związku z tym przypominamy, że XX rocznicę obchodzi ZWM. Natomiast AZWM powstał w dwa lata później jako część składowa ZWM — działając na terenie wyższych uczelni i nie będąc, jak sądzi recenzent, samodzielną organizacją.

●

Kierownictwo Powiatowego Domu Kultury w Łęczycy zorganizowało Powiatową Poradnię dla zespołów amatorskich. Poradnia prowadzi konsultację z dziedziny plastyki, muzyki i teatru. Zainteresowanie nową placówką z pewnością będzie duże, bowiem na terenie pow. łęczyckiego istnieje około 40 aktywnych świetlic wiejskich cierpiących z reguły na brak fachowej pomocy.

●

Klub Młodych Pisarzy przy ZW ZMW podjął wspólnie z Teatrem Ziemi Łódzkiej cenną i pożyteczną inicjatywę. Zorganizowano mianowicie Estradę Poetycką, z którą zamierzano wyjechać w teren. Niestety, postawiono na ciągo konia, a raczej Pegaza. Niepotrzebnie ograniczono się do wierszy debiutantów z Klubu, co okazało się bardzo ryzykowne. A w ogóle na początek należało zmontować program z tzw. „pewniaków" — Gałczyński, Tuwim, czy choćby z innej beczki — Różewicz, Grochowiak...

J. W.

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

Z okazji 1 kwietnia „Mieszanka" spogląda w przyszłość polskiego filmu: oto gwiazda polskiego ekranu A. D. 1980.

BARBARA MRUKLIK

Nowe sprawy sztuki filmowej

GATUNKI FILMOWE JAKO WYKŁADNIKI POSTAW FILOZOFICZNYCH

Postawa twórcza, czyli sposób spojrzenia na rzeczywistość jest jednym z kryteriów rozróżnień gatunkowych, — obok konstrukcji dzieła i wyboru specyficznych uk adów formalnych.

Zależności te rozpatrzmy na podstawie kilku sylwetek twórców, którzy charakteryzują się wyraźnie określonymi i reprezentatywnymi postawami twórczymi. Zaliczam do nich np. Bergmana z charakterystyczną dla niego postawą tragizmu, i Claira, którego wszystkie filmy wyrastają z zasadniczej postawy światopoglądowej przyjaznej i afirmatywnej w stosunku do świata, a także racjonalistycznej, zakładającej, że wszystkie problemy są w zasadzie rozwiązywalne. Tezę o nadrzędności postawy twórczej w stosunku do ukształtowania formalnego ich koncepcji w skończonym dziele można udowodnić analizując gatunkowe struktury formalne, jakie wybierali: chociaż na pozór były one różne, w istocie — nierozłącznie związane z postawą twórczą i uzależnione od niej, przepojone charakterystyczną dla niej tonacją: w jednym wypadku tragiczną, w drugim — komiczną. Tonacja komediowa, wypływająca z przyjęcia komizmu jako kategorii oceny rzeczywistości, warunkuje charakter zarówno typowych komedii „czystych" gatunkowo jak „Milion" czy „Słomkowy kapelusz" (pozbawionych jakichkolwiek elementów pozakomediowych), jak i komedię obyczajową np. „Ożeniłem się z czarownicą", ale także opowieść filozoficzną „Urok szatana"; w tym ostatnim wypadku dla zadośćuczynienia trzymania się gatunku, wypływającego z komediowego spojrzenia na świat reżyser zmienił nawet zakończenie klasycznego wątku fabularnego z tragicznego na szczęśliwe, narażając się w swoim czasie na niemało zarzutów. Spojrzenia komediowego zabrakło w „Bramie bzów": postawę twórczą charakteryzuje tu realizm, poetycki mimo elementów sensacyjnych i tragicznych, co już decyduje o zmianie rodzaju: dlatego film ten jest uważany za wyjątkowy w jednolitym dorobku Claira. U Bergmana tragiczna postawa decyduje zarówno o charakterze „komedii" jak „Uśmiechy nocy letniej", opowieści realistycznej: „U progu życia", — filozoficznej: „Siódma pieczęć", czy dramatu jak „Wieczór kuglarzy". Wszędzie tutaj koncepcja losu ludzkiego jest tragiczna: konflikty nierozwiązywalne, lub nie mogące znaleźć wyjaśnienia, a jeśli nawet takowe znajdują, i jeśli stanowią o „szczęśliwym" zakończeniu, to będzie ono zawsze szczęśliwe w niepełnym znaczeniu, lub będzie wzbudzało w widzu niepokój, co do swego przyszłego rozwoju. Z naszych twórców Wajda np. reprezentuje postawę dość jednolicie tragiczną zarówno w dramacie („Kanał", „Popiół i diament"), opowieści epickiej („Lotna"), jak i — w komedii współczesnej („Niewinni czarodzieje"), która jest komedią tylko pozornie.

Przyjrzyjmy się teraz zagadnieniu od strony nie postawy twórczej, a jej strukturalnego produktu, — gatunku. Nie trudno jest udowodnić, nie sięgając do materiału literackiego, zależność kształtowania się gatunków od tzw. praw rzeczywistości obiektywnej, którym każdy twórca podlega i w zależności od których ustala własną postawę twórczą; np. rozwój filmu gangsterskiego w latach 30-tych w Ameryce ściśle związany z realną sytuacją historyczną, będąc jej interpretacją, próbą zarejestrowania lub wyjaśnienia poprzez odpowiednie postawy twórcze. Podobnym przykładem może być rozwój filmu typu „wielkiej epiki" w Związku Radzieckim w latach 20-tych, odtwarzającego patos budowy nowego porządku społecznego z całym arsenałem epickim: bohaterem-herosem, szerokim tłem społecznym, określonym typem konfliktu itd. Szkoła neorealizmu, z charakterystycznym dla niej dramatem społecznym, rozwój westernu jako odzwierciedlenia pewnych układów rzeczywistości i ewolucji postaw twórczych (od aprobaty w pierwszych westernach do negacji w najnowszych egzemplarzach tego gatunku), dostarcza tu wielu podobnych dowodów. Przy wchodzeniu w gąszcz zagadnień gatunkowych, przy próbie czasem ich prostego tylko rozgraniczenia obserwujemy jednak zawsze owo krzyżowanie się sposobu spojrzenia z układem formalnym. Na przykład opowieść impresyjna jako gatunek filmowej epiki uzyska zupełnie inny walor przy założonej przez twórcę czy reprezentowanej postawie tragizmu jak w „Przygodzie" Antonioniego czy „Ostatnim dniu lata", niż gdy punktem wyjścia do oceny rzeczywistości będzie kategoria liryzmu lub poetyckości, co zadecyduje o zupełnie innym charakterze „Ballady o żołnierzu". Kategoria komizmu przenikająca „Światła wielkiego miasta" wpłynie na inne ukształtowanie rzeczywistości w tej chaplinowskiej opowieści niż realistyczna postawa twórców w „Zobaczymy się w niedzielę".

W wielu dziełach występuje zacieranie się granic międzygatunkowych, co decyduje o konieczności rozpatrywania gatunków w ich wzajemnym powiązaniu. I znowu nie wchodząc na teren literatury i nie szukając łatwych analogii wskażę na dwie interesujące próby we współczesnym filmie, które charakteryzują się wprowadzaniem pewnych układów formalnych, typowych dla jednych rodzajów do rodzajów innych, z widocznym celem silniejszego oddziałania na widza niż w tradycyjnych gatunkach. Pierwszą jest próba wprowadzania do filmu fabularnego elementów charakterystycznych dla dokumentu: wszelkich materiałów autentycznych, zdjęć kronikalnych, sprawozdań czy bezpośrednich relacji. Celem tego ukierunkowania gatunkowego filmów typu „cinema-verité" jest chęć osiągnięcia maksymalnej szczerości, zgodności z samym sobą, uczciwości, odwagi, do której zmusza twórcę postawa zaangażowania w trudne problemy XX wieku. Często jest to „film-brulion", jak „Żyć własnym życiem" Godarda, który tak charakteryzuje swą postawę twórczą: — „Starałem się wyrazić tu pewne myśli, a nie opowiadać historyjki, odnaleźć stany wewnętrzne bohaterki przez jej zachowanie, drobne szczegóły codziennej egzystencji". Bresson to wrażenie prawdy dokumentalnej w „Procesie Joanny d'Arc" osiąga przez skomponowanie autentycznych tekstów z procesu z obrazem niemal ascetycznym z punktu widzenia języka filmowego, w dodatku pozbawiając go niemal całkowicie wszelkiej gry aktorskiej. Dokumentalne zdjęcia wprowadził także Resnais do swego wstrząsającego filmu „Hiroszima, moja miłość", tutaj jednak nie tylko i nie głównie w celu udokumentowania prawdy o świecie zewnętrznym, ale w celu uwidocznienia złożoności procesów, które zachodzą w nas samych. O tej tendencji mówił Antonioni, że twórca filmowy oczywiście musi być związany z czasami w których żyje, i nie chodzi tu nawet o odtworzenie, czy podejmowanie aktualnych wydarzeń, ale o to, aby „zbierać w nas samych świadectwo naszych czasów".

Nawet z tych marginesowych uwag wynika potrzeba szczegółowych badań w tym zakresie, które naukowymi metodami analitycznymi uchwyciłyby i wyjaśniły mechanizm „deklaracji gatunkowej" ze stron twórców jako postawy filozoficznej czy też szczególnej predyspozycji twórczej w określonym momencie historycznym.

MUZEUM BRIGITTE BARDOT

Jeden z przyszłych eksponatów — rzeźba B. B.

Jak informuje „Cinemonde" wielbiciele Brigitte Bardot (a imię ich milion) doszli do wniosku, że skoro istnieje Muzeum Balzaca czy też Victora Hugo to z równym powodzeniem można założyć Muzeum Brigitte Bardot. Fundusze już są, brak tylko odpowiednio reprezentacyjnego pomieszczenia. Frekwencja publiczności z góry zapewniona. Wdzięczność potomności — również. A eskponaty? Tych nie brakuje. Rzeczy niemal bezcenne — dessousy, gorsety (m. in. ten ze „Stokrotki"), bielizna, kask z filmu „Babette idzie na wojnę", wózek synka Bardotki, żyletka, która przecięła sobie żyły, usiłując popełnić samobójstwo z powodu miłości do Sami Freya, obydwie suknie ślubne, stare zdjęcia, różne bliskie sercom wielbicieli przedmioty, tudzież spora ilość rzeźb utrwalających wdzięki gwiazdy. Miejmy więc nadzieję, że już niebawem Orbis zorganizuje specjalną wycieczkę do Paryża, w celu zwiedzenia muzeum Brigitte Bardot.

A oto oryginał B. B.

KRYSTYNA WOJTASIK

Abonamenty na cenzurowanym

— Połknął raka! raka!

Czkawka, przyciszony śmiech i znów:

— Połknął raka! raka! raka!

Tym razem śmiech jest głośniejszy. Dziewczyna, widząc, że ją obserwują, zrzuca ze swej ręki dłoń chłopaka, ale nie przestaje chichotać i patrzy na niego zalotnie. Chłopak, rozrośnięty i ładny, ubrany jest w elegancki garnitur, modny krawat zwisa u kołnierzyka jego białej, czystej koszuli, kiedy wychyla się do przodu i czka. Bo to on ma czkawkę, dla kawału, oczywiście. Komentarz należy do sąsiadów z kilku najbliższych rzędów.

„Nie mogłem spać tej nocy, jak szczeniak. Myślałem o pani" — mówi aktor. Cha, cha, cha! — rechoczą z wyraźnym domyślnym „my już to znamy" nie przestając jeść cukierków.

Ale tak jest tylko w ostatnich rzędach. W tych innych, bliższych sceny i ciała pedagogicznego panuje spokój.

* * *

„Akcja szkolnych abonamentów teatralnych ma na celu podniesienie kultury naszej młodzieży, wprowadzenie uczniów w zagadnienia teatru, związanie młodzieży szkolnej z łódzkim ośrodkiem teatralnym..." — głosi okólnik Kuratorium z dnia 11 września 1962 roku a przeznaczony dla dyrekcji liceów i szkół zawodowych wszystkich typów. W kilka miesięcy później Kuratorium zaleciło nadesłanie przez szkoły uwag odnośnie korzystania z abonamentów teatralnych. Materiał zebrano już spory, nie licząc telefonów co bardziej nerwowych nauczycieli. Oczywiście szkoły, które nadesłały swoje uwagi a także i teatr, uznają wszystkie racje Kuratorium określające znaczenie, wagę i piękno akcji abonamentowej, ale... Chodzi właśnie o to „ale" i na jego temat wypowiedzą się sami zainteresowani:

KURATORIUM (d. c. okólnika) „Akcja szkolnych abonamentów teatralnych (...) jest uzupełnieniem i pogłębieniem lektury języka polskiego".

SZKOŁY: „Duże zastrzeżenia budzi w nas dobór sztuk, brak powiązania z przerabianym materiałem z literatury — języka polskiego, historii, czy godzin wychowawczych, wobec czego teatr nie jest tu pomocą w nauce i wychowaniu". „Akcja abonamentowa musi być powiązana ze szkołą, z jej programem; obecnie akcja ta jest prowadzona bez nastawienia pedagogicznego". „Przy ustalaniu repertuaru nie brano pod uwagę zakresu lektury techników i szkół zasadniczych" „... praktyka wykazuje, że niejednokrotnie w programie sztuk są utwory znane (?) młodzieży szkół średnich („Zemsta") lub utwory o małej wartości wychowawczej". Dobór repertuaru winien odbywać się przy udziale polonistów szkół ogólnokształcących i zawodowych, sztuki należy przystosowywać do wieku uczniów", „Repertuar winien zawierać większą ilość sztuk i umożliwiać wybór nauczycielowi. Pewne dzieła powinny stanowić repertuar stały np. „Kordian", „Wesele", „Dziady", „Niemcy".

TEATR: Otrzymaliśmy, sporządzony przez Kuratorium „długofalowy projekt repertuaru teatralnego dla młodzieży", obejmujący swym zasięgiem okres czterech lat — rok bieżący i trzy następne. Ma on jednak poważne wady, które wymienili na dawno odbytej naradzie kierownicy literaccy teatrów. Przede wszystkim zawiera on sporo tytułów sztuk granych już w Łodzi i to niedawno (np. „Uciekła mi przepióreczka", „Juliusz Cezar", „Gra miłości i śmierci") a co gorsza podaje tytuły sztuk słabych, jak np. „Nigdy nie można przewidzieć" Shawa, która to sztuka jest najsłabszą w dorobku tego pisarza, lub utwory dla młodzieży nieodpowiednie jak „Volpone" czy „Przed maturą". Korzyść więc z projektu dla teatrów niewielka i należy opracować nowy, który powinien zostać uzgodniony z teatrami już w marcu br. W tym czasie bowiem teatry planują swój repertuar na sezon następny. Jesteśmy zdania, że należy dla szkół wybrać sztuki z zakresu lektury, ale przystępne i, co najważniejsze, dla młodzieży ciekawe. Pamiętamy jeszcze strzelanie z procy na „Nieboskiej komedii" czy „Fantazym", pamiętamy również żywą reakcję na „Grubych rybach" i obecnie obserwujemy przykładną i spokojną, i pełną zainteresowania atmosferę na „Burzy". Te dwie sztuki nie pozostały młodzieży obce. Należy się również zastanowić nad skoordynowaniem spektakli z zakresu lektury klas od VIII do XI. Cztery lata to duża rozpiętość wieku u młodzieży. My z kolei mamy 4 lata doświadczeń...

KURATORIUM: „Przed każdym spektaklem będą wygłaszane prelekcje wprowadzające młodzież w sztukę, ułatwiające dobre jej zrozumienie, odczucie jej piękna i wartości dramatycznych".

SZKOŁY: „Nie ma prelekcji, a jedna, która miała miejsce w zeszłym roku była wygłoszona nieudolnie i tak cicho, że słowa nie docierały do audytorium".

KURATORIUM: zapowiedziano, że 6 spektakli abonamentowych ujrzy młodzież w wykonaniu wybitnych aktorów scen łódzkich.

SZKOŁY: „Budzi jedynie zastrzeżenie poziom gry aktorów w Teatrze Młodego Widza (Rozmaitości) dlatego dobrze byłoby, żeby role czołowe przydzielane były znanym aktorom, a nie studentom szkoły aktorskiej. „Antygona" wystawiona była w sposób pozostawiający bardzo wiele do życzenia.

TEATR: „Antygona" jest widowiskiem zastępczym i młodzież ogląda ją w zamian za „Trzecią patetyczną", której ze względu na chorobę dyrektora nie przygotował, Teatr Jaracza.

(d. c. n.)

W NASTĘPNYM NUMERZE:

- **DALSZY CIĄG DYSKUSJI SZKOŁA — TEATR NA TEMAT ABONAMENTÓW**
- **WARUNKI POŻYTECZNEJ AKCJI ABONAMENTOWEJ**
- **WNIOSKI NA PRZYSZŁOŚĆ**

CZY KLIENT BĘDZIE MIAŁ RACJĘ?

Dalszy ciąg ze str. 1

zycji przemysłu z opinią przyszłego nabywcy. Tak było w przypadku przemysłu odzieżowego. Mimo ogromnego postępu, który on zrobił. W dalszym ciągu nie każdy obywatel „peerel" może wejść do sklepu i nabyć dla siebie odpowiednie ubranie czy sukienkę. W grę wchodzą różnice naszych figur. Po prostu jedno ramionko jest od codziennego dźwigania teczuszki niższe i — żegnaj gotowa konfekcjo jeśli chcesz, by marynarka była sobą, a nie „workiem".

Podobno ma się coś pod tym względem zmienić. Nie żeby teczuszki... Krajowy przemysł odzieżowy zaczął na Targach Krajowych lansować tzw. modę włoską. W przypadku odzieży męskiej oznacza ona pewną „umyślną niedbałość", jest jakby lekko niedopasowana do figury, ale jednak bardzo elegancka: wąskie klapki, miękkość kroju, żadnych „poduszek" z waty, różne rozcięcia, słowem — mocna rzecz. Brawo. A dziennikarze ukuli zaraz pewne powiedzonko, adresowane do naczelnego dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Odzieżowego w Łodzi — Kulczyckiego: „Marsz, marsz Kulczycki, pod Twoim przewodem, będziem mieli w Polsce włoską modę..."

LEKCJE DLA STARSZYCH PANÓW

Każde kolejne targi stawiają sobie pewne cele dydaktyczne. Tegoroczne również i to bardzo szczególne. Chodzi o to, że pomimo dużej ilości nowych wzorów na stoiskach handlowcy — przynajmniej ich spora część — z uporem maniaka zamawiała stare, niemodne modele. Ministerstwo Przemysłu Lekkiego obliczyło, że jedynie 8 proc. nowych wzorów trafiało dawniej do sklepów. To oczywiście bardzo źle. Nic dziwnego, że powszechnie mawiano: na wystawie to pokazali, a w sklepach to nic z tych rzeczy nie ma! W czym tkwiła przyczyna?

W nieznajomości nowej mody, no i trochę w braku gustu u panów, którzy większą część pracy spędzają „w delegacji" — czyli zaopatrzeniowców.

Wzięto się więc na sposób: przed każdą giełdą, na której zamawia się odzież, wyroby dziewiarskie, odbywa się wielka rewia — przegląd najnowszych kreacji. Słowem — starsi panowie się uczą, patrzą na śliczne modelki i modele, łącząc piękne z pożytecznym. Jeżeli to poprawi zaopatrzenie sklepów to niechby przed nimi sam Dior występował!

CO POTRZEBNE, A CO NIE?

Jedną z chorób krajowego handlu jest brak znajomości rynku — jego potrzeb, upodobań i gustów. Każde targi są więc także pewną sondą tych potrzeb. Stąd dziesiątki ankiet wśród zwiedzających! Ciągle to samo pytanie: co Wam się podoba?

„Wiosna 63" różniła się jednak w tej dziedzinie. Dlaczego? Otóż ta nieznajomość cechuje nie tylko handel, ale również przemysł. Dlatego przygotowano specjalną listę towarów, których jest nadmiar i nie należy rozszerzać ich produkcji, a z drugiej taką samą listę wyrobów specjalnie pożądanych. Podjęcie lub rozszerzenie produkcji tych ostatnich to powód do ubiegania się o premię, podwyższenie funduszu płac itd. Na liście zalecanych artykułów znalazło się 385 wyrobów. Niepotrzebnymi okazało się 112.

PRZEDE WSZYSTKIM — HANDEL

Targi Krajowe nie spełniłyby swojej roli, gdyby ograniczały się do funkcji „salonu wystawowego". Niestety, tak w dużej mierze było w przeszłości. W ostatnich 3 latach zaszły jednak duże i to pozytywne zmiany. Najlepiej świadczy o tym ilość podpisanych umów: w roku 1959 — sfinalizowano 21 tys. umów handlowych. W rok później już 32 tys., a w 1962 roku aż 43 tys. kontraktów. Pod tymi liczbami kryją się tysiące dostaw poszukiwanych i potrzebnych artykułów.

NASZ KOMENTARZ

Poznańska impreza handlu wewnętrznego Targi Krajowe pozostaje w cieniu Międzynarodowych Targów Poznańskich, a przez wielu jest nawet zupełnie lekceważona. A jednak to prawda, że to właśnie wtedy — wiosną i jesienią decydują się losy zaopatrzenia naszych sklepów, wtedy pada odpowiedź w co się będziemy ubierali, czy znajdziesz dla siebie, Czytelniku, odpowiednie ubranie, koszulę czy buty, a dla swojego dziecka piżamkę, płaszczyk, sweterek.

Czy to jest ważne? Sami sobie odpowiedzcie.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Targi Krajowe to wielka szkoła. Dla największych potentatów przemysłu i tych „maluczkich" — drobnych fabryczek odzieżowych, przemysłu dziewiarskiego, spożywczego, sprzętów domowych, które jednak w ostatecznym rachunku decydują o pełnym zaopatrzeniu rynku. Tutaj w Poznaniu podpatrują nowe modele, wzory, a potem naśladują.

Czy to jest ważne? Znowu odpowiedzcie sami.

Ta także wielka szansa dla handlu.

Tutaj w Poznaniu równe prawa podpisywania umów handlowych ma zaopatrzeniowiec domu towarowego z Biłgoraja jak i Łodzi czy Warszawy. To znowu szansa, że potrzebne i ładne towary będą w sklepach całej Polski.

„Wiosna 63" ma jeszcze dodatkowe znaczenie. Znana jest wszystkim trudna sytuacja naszego kraju. Toteż żaden wyrób nie powinien zamiast na półki sklepów trafiać do magazynów — powiększając zbyteczne zapasy. Handel i tak ma ich za dużo — o jakieś 2,5 miliarda złotych. Oczywiście w towarach. Jest to wynik tego, że nie zawsze to co chce handel opłaci się produkować przemysłowi. W efekcie wiele wyrobów brakuje i setki znajdują się w nadmiarze. Stąd też niezwykle słuszne wydaje się być zalecenie ministra przemysłu lekkiego — E. Stawińskiego: fabryki będą produkowały tylko to co zamówi handel. Targi są więc takim „rendez vous", gdzie spotyka się przemysł ze swoim klientem — handlem. Byleby ten „klient" miał rację...

KRZYSZTOF POGORZELEC

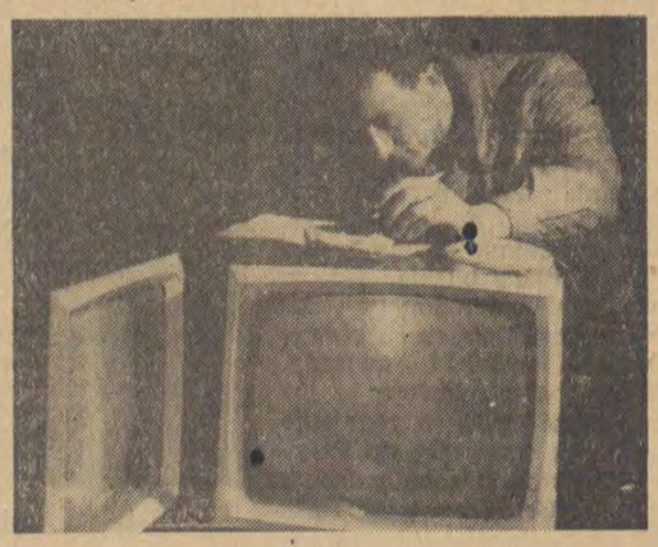

JUNA MORIC

przełożył TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

MYŚLIWIEC

Ja — zamieć. Niby nóż dźgam ostry,
Kiedy dalekie łowiąc szczęki,
On u czerwonej ognia sosny
Grzał w białej tundrze lody ręki.

Gdy w śniegach, niby na marmurze,
Świeży jelehi trop go mami...
Ja — zamieć. Wszystko widzę w tundrze,
Wasz podziw dla mnie mając za nic.

Galop marzenia roztętniony,
Wzrok dziadów lśniący najogniściej
I jego rysy wykrzywione —
Z daleka mi rozświetliliście!

Zza niepojętej dłań granicy
W te samojedzkie rysy grube
Tchnęliście oddech tajemniczy
Pod błam niedźwiedziej skwarnej szuby.

Więc śniegiem krew ścierając z kolan
Pojął dziś szczęście swe jurącze,
Że jeleń przed nim legł jak wola
Córy jeleni poganiacza.

MĘSTWO

Ninie Detliak poświęcam

Świat krawędziami sięga nieba we dnie,
Ale znikała na morzu fregata,
I ktoś tam pierwszy trwożnymi krokami
W dal powędrował szukać końca świata.

Miał lat dwadzieścia, może trochę ponad —
Myślę, i żal mi, że nie spojrzę w lica
Tego pierwszego, co zwątpił w aksjomat,
Iż jest gdzieś świata wytknięta granica.

Świat krawędziami sięgał nieba we dnie,
Był rozpostarty na głazach jak piasta —
Ażeby dowieść: zwątpienia to brednie,
Praw jest androny plotący scholastyk,

Żółkniały trawy, umierały rzeki,
Dżdże wyzwalały kwiat z majowych gąszczy...
I znajdowały się siły w człowieku,
Aby umierać, kresu nie sięgnąwszy,

Aby, gdy w oczach tężała mu ziemia
I gibki, świetlny styk nieba i świata,
Pojąć, że tego, czego szukał, nie ma,
Albowiem znika na morzu fregata.

JERZY TYNECKI

Kamienują go milczeniem

„Kamienują go milczeniem" — u progu dwudziestolecia pisał o Tadeuszu Micińskim jeden z krytyków, pozostających w kręgu poznańskiego „Zdroju", Jan Stur. I rzeczywiście, droga twórczości Micińskiego na rynek czytelniczy była dość ciernista. Jego książek nie wznawiano. W 1923 roku dzięki zabiegom Andrzeja Struga przekazane zostały z Moskwy do Polski papiery po Micińskim. Pisma pośmiertne miano wydać w 10 tomach pod redakcją Artura Górskiego i Czesława Latawca, lecz w roku 1931 ukazał się jedyny tom z cyklu „Lucyfer". Rękopisy, których losem interesował się w dwudziestoleciu m. in. Leopold Staff, uległy w przeważnej części zniszczeniu podczas powstania warszawskiego. W 1926 roku Jan Lorentowicz wydał jeszcze „Witę". Powieść o księciu Józefie na tle zjazdu Stanisława Augusta i Katarzyny II w Kaniowie. Powieść wznowiono w 1930 r. i to było wszystko. Jedynie drobne utwory drukowane przygodnie w czasopismach. Na scenę dostał się wyłącznie „Kniaź Patiomkin", dramat o rewolucji 1905 roku wystawiony w Teatrze im. Bogusławskiego przez Leona Schillera. Inscenizacja była głośna, przypisano jej wymowę rewolucyjną, Schiller zebrał kolejną porcję cięgów.

To działo się w latach dwudziestych, w latach trzydziestych o Micińskim robi się coraz bardziej głucho. Milczenie trwa po dziś dzień i tylko raz zostało przerwane. W 1957 roku PIW wznowił w „celofanowej" bibliotece poetów jedyny wydany w 1902 roku tom poezji Micińskiego „W mroku gwiazd" z dodatkiem kilku wierszy rozproszonych i kilku wierszy z „Nietoty" (powieści Micińskiego wydanej w 1910 roku). Tom rozszedł się niemal natychmiast, okazało się, że Miciński czytelników nigdy nie stracił.

Zainteresowała się wreszcie Micińskim Łódź. Z inicjatywy Tadeusza Chróścielewskiego ustalono dokładnie miejsce i datę urodzenia Micińskiego. W miejscu urodzenia, na domu przy ulicy Piotrkowskiej (zbieg Więckowskiego) odsłonięto tablicę pamiątkową. Na uroczystości obecny był syn poety Jarosław Miciński, niegdyś uczeń szkoły dramatycznej Tairowa, potem członek zespołu Reduty.

Leon Schiller, snując projekty Teatru Ogromnego, do kanonu polskiej dramaturgii romantycznej obok dzieł Mickiewicza, Krasińskiego i Wyspiańskiego zaliczał dramaty Micińskiego. Wychodzący od roku 1922 organ wychowawczo-oświatowy KPP „Kultura Robotnicza", redagowany przez Hempla i Herynga, jakkolwiek w dziale recenzji stosunkowo mało zajmował się poezją, to on przecież znalazł dość miejsca na artykuł Jana (Hempla?) o Tadeuszu Micińskim, gdyż był to „jeden z największych i najoryginalniejszych poetów polskich", choć mówiło się też o „radykalnej ślepocie społecznej poety". A przecież „Kniaź Patiomkin" inscenizowany przez Schillera wywołał oburzenie prawicy. Witold Wandurski, twórca Sceny Robotniczej w Łodzi, zatrudniony w 1922 roku jako lektor tutejszego Teatru Miejskiego, jeszcze przed Schillerem proponował wystawienie „Kniazia Patiomkina" obok „Klątwy" i „Sędziów" Wyspiańskiego.

Tytułów chyba dosyć, aby twórczością taką zająć się bardzo gruntownie. Dosyć też chyba powodów dla Łodzi, aby Micińskiego uznać za poetę miasta. Aby się do niego przyznać, jak do Tuwima. Rzecz jednak w tym, że nie jest to twórczość dostępna. Nawet Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi nie ma wszystkich poprzednich wydań Micińskiego. Źródła rękopiśmienne, rozproszone, często w prywatnych rękach, znajdują się wszystkie poza Łodzią. Najwięcej — przeważnie z daru profesora Pigonia — znajduje się w Dziale Rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Czy więc Łódź nie mogłaby się zająć edycją Micińskiego? Wydawnictwo Łódzkie powie, że twórczość Micińskiego jest trudna, ono zaś obliczone jest na przeciętnego odbiorcę. Wszakże Miciński ma też partie bardzo realistyczne, społeczne niezmiernie krytyczne. Czytelność jest zresztą także kwestią wstępu, objaśnień, przypisów. Nie proponowalibyśmy zresztą na razie wznowień. Można by się zastanowić w tej mierze tylko nad ponownym wydaniem „Xiędza Fausta", powieści najmniej zagmatwanej konstrukcyjnie. Z handlowego punktu widzenia rzecz byłaby także opłacalna, bo niemal mityczna i trudno dostępna, więc rozeszłaby się w mgnieniu oka. Wyka porównywał ją pod tym względem do „Pałuby" Irzykowskiego, już przecież wydanej.

Jeszcze ważniejsze byłoby zebranie rozproszonych po czasopismach poezji Micińskiego, wśród nich przekładów perskich z „Chimery" inspirujących swego czasu muzyczną twórczość Karola Szymanowskiego! Dalej zebranie dramatów (konieczne byłoby wznowienie „Kniazia Patiomkina", wydanie „Nocy Rabinowej" z „Ateneum" Jellenty, „Mściciela Wenety", również „Termopilów polskich", dramatów znajdujących się w Bibliotece Narodowej), eseistyki literackiej (rozprawy o „Beniowskim", o Mickiewiczu, o pesymiźmie, o Platonie, o Rubensie — w Bibliotece Narodowej; artykuły o Norwidzie, o malarstwie wizyjnym, recenzje z eksperymentalnych przedstawień Claudela w Niemczech — po czasopismach), publicystyki społecznej, w której niemało miejsca poświęcał Miciński ekspansji pruskiej, wojnom wyzwoleńczym na Bałkanach, dostępowi Polski do Bałtyku. Znaleźć tam można sformułowania zaskakująco trafne, choć w większości intuicyjne.

A korespondencja Micińskiego — jej pliki w Bibliotece Narodowej, a wspomnienia rodzinne matki Micińskiego! Dużo jeszcze mogłaby odsłonić kwerenda po zakładach naukowych. Niechajby tylko Wydział Kultury RN m. Łodzi zechciał ją sfinansować.

Wydawnictwo Łódzkie znajduje się w tej trudnej sytuacji, że mając ograniczoną

Dalszy ciąg na str. 6

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NIE MA POWROTU

Bogusław wśliznął się do lewej niszy, Justyn do prawej. W zębach trzymał zapalona latarkę. Nie był przekonany o celowości wyprawy. Grobowiec, jak grobowiec, można go sobie obejrzeć w pogodny dzień, a tajemnice grobów rodzą się głównie w wyobraźni niedowarzonych Wilczków.

— Cholera! — krzyknął uderzając kolanem o coś twardego. Omiótł latarką niszę. Na tłustych szmatach leżały trzy karabiny polskiego typu, nowiutki pistolet „Vis", kilka granatów i amunicja. Nie takie głupie te Wilczki!

— Panie profesorze, gotowe! — Maurycy ciągnął go za nogę.

Justyn wsunął rewolwer do kieszeni i trzy magazynki.

— Znalazł pan profesor co?

— Nic, puchy, tak sobie leżę, przyzwyczajam się. A co u was?

— Jest!

Wyszli z grobowca. Deszcz ustał, szalała natomiast wichura. Las szumiał jak wzburzone morze, popłakiwał jak cierpiący człowiek. Weszli do pałacu cichcem, bocznymi drzwiami. Justyn nie życzył sobie, aby ktokolwiek wiedział o ich wyprawie.

Bogusław ułożył delikatnie worek na stoliku w pokoju Justyna, który cały czas zacierał ręce z podniecenia.

— Dawaj, dawaj, szybciutko te baterie, ten drucik też, pojęcia nie macie o pracy w propagandzie. Ale to nic, powiedziałem, że zrobię z was żołnierzy, to zrobię, ma się tę technikę w jednym palcu, co? Pracował sprawnie pogwizdując.

W kilkanaście minut później rozcięła ciszę wesoła muzyka.

— Co to za stacja, panie profesorze?

— Deutscher Rundfunk mein lieber! Niemiaszki udają, że im wesoło.

— Pan profesor im wierzy?

— Wierzę tylko Michasi, powinna podać dobrą kolację.

W praktyce okazało się, że nie sarna i nie zając, tylko jeszcze jeden zwykły królik zakończył życie na patelni. Nastrój przy stole był z tego powodu bardzo kiepski. Madam milczała uparcie, Wilczkowie, przejęci swoją przyszłą rolą w podziemnej organizacji, mało co jedli. Może myśleli, że przysięgę składa się na czczo? Madam wstała od stołu bez słowa i rozpłynęła się w mroku rozległego salonu. Maurycy zauważył złośliwie:

— Ma dzisiaj swój transik, będzie obcować z duchami.

— Chodźmy — rozkazał Justyn — nie ma co odsiadywać takiej kolacji.

Na kominku trzeszczały dębowe polana, otwarta sekretera zapraszała do pracy, Barnaba rozłożył się na skórze z dzika. Justyn wyciągnął pistolet z kieszeni. Wilczkowie odskoczyli.

— Nie mówiłem wam o tym pistolecie, musiałem was pierw poznać. Będziecie przysięgali na broń polskiego żołnierza. Połóżcie dwa palce prawej ręki na lufie i powtarzajcie za mną.

Wilczkowie zastygli jeden przy drugim, obcasy przy sobie, stopy lekko rozwarte tak, jak ich uczył Justyn.

— W obliczu pana boga wszechmogącego przysięgam służyć wiernie ojczyźnie mojej, najjaśniejszej Rzeczpospolitej Polskiej, do ostatniej kropli krwi. Przysięgam wykonywać posłusznie rozkazy przełożonych, tajemnicy służbowej strzec, a śmierci się nie lękać. Tak mi dopomóż bóg i wszyscy święci!

Przyglądał się ciepło swoim wychowankom. Wzruszająca formułka przemieniła ich w prawdziwych żołnierzy. Uścisnął ręce Wilczków.

— Od dziś będziemy ten pokój nazywali kwaterą główną. No, odpływajcie już, pewnie jesteście zmęczeni.

Kiedy Wilczkowie odmeldowali się, usiadł w fotelu przy kominku, zdjął buty i przysunął stopy do ognia. Przyjemne ciepło pięło się leniwie wzdłuż nóg. Z zaimprowizowanej przysięgi nie był zadowolony. Za dużo pana boga i świętych, za mało konkretnych zadań. Jakie zadania można im powierzyć? Jest radio, ale nie ma kogo informować. Chłopów? Nonsens, chłopu wszystko jedno, kto komu skórę łupi na froncie, byle podatki nie były wysokie, świń nie odbierali, za jaja dobrze płacili i za masłem ludzie latali. Jest broń, ale nie ma do kogo strzelać? Po wojnie będzie się liczyć każda poważniejsza praca w konspiracji, po niewoli tak już jest, Polskę robią zasłużeni.

Podszedł do biblioteki, wyjął kilka tomów dzieł zbiorowych Słowackiego, za którymi ukrywał wódkę, doprawioną korzeniami przez Madam.

Czy mogę się zasłużyć? Powinienem, to jedno mogę sobie w tej pustelni powiedzieć, reszta jest mgłą. Napełnił kieliszek i wypił jednym haustem. Cóż to za zasługa uczyć dwóch Wilczków? Żeby to chociaż udało się dostać na trochę do Olszyny. Lekcje przygotowuję ef, ef... tam bije serce powiatu, tam jest rdzeń trzeciego świata, albo jeszcze lepiej — niech się coś stanie, coś ogromnie ważnego, ale z moim udziałem. Jeszcze kieliszeczek... wspaniała jest Madam, kocha mnie, czy jestem jak ten rak na bezrybiu? Mocna wódka nie jest zła... żeby się tu zjawił jakiś wielki partyzant i cholernie mnie potrzebował... intelektualisty, wojsko jest wojsko, nic więcej, a ja był chłopakom po łacinie, na wyższym poziomie... mała coś ta flaszka, a wyglądała na dużą... rany boskie, wrócić do rodzinnego miasta, mundur na mnie wysłużony, brud za paznokciami... broda... gówno, sam nie wiem czego chcę... rewolwerek owszem, fajny, kto go tam pradziadziusiowi podrzucił... ostatnim się nie częstuje, rąbiemy sami... niech żyje cnota wstrzemięźliwości, nazywana po łacinie virtus continentiae.

* * *

Przed pałac zajechały sanie. Mieszkańcy Zalesia jadą do Olszyny na wezwanie hrabiego Izydora Wilczka.

— Świat jest piękny w sposób zdecydowanie niezależny od wojny i okupacji — stwierdził Justyn siadając obok Madam. Czuł jej ciepłe nogi okryte wspaniałym futrem Wilczków. Padał śnieg, brzęczały wesoło dzwonki.

— Ja tam nie lubię stryja — powiedział Maurycy.

— Tak, a dlaczego nie lubisz?

— Żarłok i skąpiec, wracam z Olszyny zawsze, ale to zawsze głodny jak pies.

Justyn westchnął.

— Ładna perspektywa, a ty?

— Ja lubię stryja, bo to marzyciel.

— Ciekawe, a znasz chociaż jego marzenia?

— Znam, panie profesorze.

Dalszy ciąg na str. 6

odgłosy str. 5

KAMIENUJĄ GO MILCZENIEM

Dokończenie ze str. 5

liczbę tytułów może wydawać „klasyków" tylko kosztem ograniczenia miejsca dla żyjących współcześnie w nie małej liczbie literatów łódzkich. Czy wobec tego przy pomocy Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi nie można by wyjednać dodatkowych tytułów i racji papieru na tak pomyślane wydawnictwo? Czy Towarzystwo Przyjaciół Łodzi nie mogłoby tego przeprowadzić? Jemu to przypisujemy zakończenie jednego z utworów wielkiego poety, urodzonego w Łodzi.

„Roztwórzcie mi bramę Wenety: nieście mnie do mych bogów dawnych — do mej ojczyzny". Jest to zakończenie dramatu „Mściciel Wenety". Rzecz dzieje się w czasie wojny światowej na Pomorzu, w domu pruskiego profesora — junkra, ożenionego z Polką. Synowie ich walczą w przeciwnych obozach: po stronie państw centralnych i po stronie państw Ententy. Jeden z synów okazuje się mścicielem Słowiańszczyzny. Czy tej rzeczy o junkierstwie, marzącym że „cywilizacja dojdzie aż do Wołgi" nie mógłby wystawić Teatr Nowy w Małej Sali? Kierownikowi literackiemu Teatru, Janowi Koprowskiemu — pod rozwagę. A może podejmie się tego Jerzy Antczak w Telewizji?

JERZY TYNECKI

OPOWIASTKI dla dojrzewających RODZICÓW

(Dalszy ciąg ze str. 1)

częśnie zaczęła się przyjaźnić ze starszymi od siebie koleżankami. Matka, chorowita i zapracowana, nie miała dość czasu by zająć się córką i przeciwdziałać złym wpływom. Zresztą nie od razu dostrzegła niebezpieczeństwo. Elżbieta stawała się coraz bardziej skryta, aż wreszcie kontakt między matką a córką zerwał się zupełnie. Oto — w wielkim skrócie — cała historia.

W Poradni Elżbieta zwierzyła się, że do tej nowej szkoły nie chce się jej chodzić, bo wszystkie koleżanki są od niej o kilka lat młodsze. Chyba się wstydziła, więc przeniesiono ją do szkoły dla młodzieży starszej.

Od pół roku, raz na tydzień, Elżbieta przychodzi do Poradni na rozmowy ze swoją opiekunką. Zaprzyjaźniły się, chociaż dziewczyna dalej jest skryta i nieufna. Wymieniają między sobą książki, rozmawiają o literaturze, życiu, koleżankach i o wszystkim tym, co dziewczynę interesuje.

Elżbieta uczy się teraz dobrze, lekcji nie opuszcza, dużo czyta, ze starszymi koleżankami się nie spotyka. Matka jest szczęśliwa, jakby odzyskała utraconą córkę, powoli nawiązuje z nią dawno utracony kontakt.

Kim zostanie Elżbieta?

Na to pytanie jej opiekunka z Poradni nie potrafi nam dać zdecydowanej odpowiedzi. — Wygląda na to, że wszystko jest na najlepszej drodze — stwierdza. — Niby tak niewiele zrobiono (czy naprawdę niewiele?), a dziewczyna raptownie zmieniła tryb życia.

Ale ciąży nad Elżbietą kilkuletni okres, w którym widziała i przeżyła więcej niż powinna widzieć i przeżyć dziewczyna w jej wieku. W tym i w jej dużej wrażliwości tkwi niebezpieczeństwo ponownego załamania przy jakichś nowych niesprzyjających okolicznościach życiowych.

— Gdyby Elżbietę zgłoszono do nas wtedy, kiedy po raz pierwszy nie otrzymała promocji do szóstej klasy, moglibyśmy ją pewniej przeprowadzić przez trudny okres dojrzewania. A przecież był sygnał ostrzegawczy, który powinien zaalarmować szkołę i matkę: czy nie było dziwne, że zdolna i dobrze ucząca się dotąd dziewczyna, nagle zaczyna wagarować i zostaje na drugi rok w piątej klasie? Czy nie dziwne, że akurat w tym samym okresie zaczyna sobie szukać koleżanek o kilka lat starszych od siebie?

Opowiastka druga

(imię zmyślone)

Krzysztof należy do tzw. ładnych chłopców; jest w pełni świadomy swojej urody i swoich walorów fizycznych. Okazuje to na każdym roku. Z jego ruchów, chodu, odezwań przebija nonszalancja. Tania wprawdzie i nietrudna do rozeznania dla oka doświadczonego i obiektywnego, ale chyba sugestywna i pociągająca dla dziewcząt w jego wieku, lub nawet o kilka lat starszych.

Krzysiek zaprzyjaźnił się z jedną z band chuligańskich, operujących w śródmieściu. Byli to chłopcy o wiele starsi od niego, w wieku od 18 do 24 lat, dla których szczytem sukcesów życiowych było tanie wino, udana bójka i „poderwana" dziewczyna. Krzyśkowi imponowało to towarzystwo, jako że sam ma lat 16, a bandzie przydawał się taki piękny chłopak. Krzysiek służył im jako przynęta dla dziewcząt: on zaczynał, oni kończyli.

Tak postępowała edukacja Krzyśka, o której w domu nic nie wiedziano. Niepokój wzbudziły dopiero wiadomości ze szkoły, że opuszcza się w nauce, że wagaruje i że opowiada kolegom o przygodach, jakimi nie mogą się pochwalić nawet uczniowie klas maturalnych.

W domu Krzysiek kłamał. Kłamał jak najęty. Przyłapany nie peszył się, a natychmiast zmyślał nowe historie. Matka była zrozpaczona. Ani perswazja ani kary („areszt" domowy) nic nie pomagały.

Pod koniec roku szkolnego czekała matkę jeszcze jedna smutna wiadomość: Krzysiek „załapał" ileś tam poprawek i groziło mu niepromowanie do następnej klasy. Wychowawca podsunął myśl, żeby go zgłosić do Poradni Społeczno-Wychowawczej TPD.

I tu nie było z nim łatwo. Kłamał dalej, albo nie mówił nic.

Poddał się dopiero wtedy, kiedy się ujawniło, że to on skradł i zniszczył dziennik lekcyjny, w którym było już zbyt wiele przykrych uwag pod jego adresem. Opowiedział wtedy co nieco o sobie. Oczywiście tylko w Poradni i tylko pod warunkiem, że matka się o tym nie dowie.

Za zaleceniem Poradni rodzice wysłali Krzyśka do szkoły z internatem, odległej o kilkaset kilometrów od Łodzi. Oderwanie chłopca od dotychczasowego środowiska okazało się zbawienne: uczy się dobrze, zachowuje poprawnie. Wykazuje duże uzdolnienia muzyczne i nadmiar energii wyładowuje przy fortepianie, przy którym spędza prawie wszystkie wolne godziny.

* * *

Pora usprawiedliwić się z dwóch, banalnych na pozór opowiastek. Wybraliśmy je z 1.300 teczek zalegających półki jednej tylko, śródmiejskiej Poradni Społeczno-Wychowawczej TPD W Łodzi są cztery takie Poradnie. Każda z tych teczek zawiera mniej lub więcej podobną historię. Prawie wszystkie kończą się szczęśliwie. Prawie wszystkie...

Jest sporo takich pacjentów Poradni — użyjmy tu terminu lekarskiego, może nawet niezupełnie ścisłego — którzy nie poddają się żadnemu leczeniu. Albo przychodzą za późno, z utrwalonymi wypaczeniami charakteru, albo pochodzą ze środowisk, których złego wpływu nie może już zrównoważyć interwencja psychologa. Dla uniknięcia nieporozumień trzeba jeszcze wyjaśnić że tego typu poradnie nie zajmują się dziećmi niedorozwiniętymi umysłowo, ani też dziećmi u których wypaczenia charakterologiczne są wynikiem dziedzicznych chorób i obciążeń (np. kiła, czy alkoholizm rodziców), albo przebytych chorób (najczęściej chodzi o zmiany powstałe w następstwie zapalenia mózgu czy opon mózgowych). Te dzieci, o ile trafią do poradni społeczno-wychowawczej, kierowane są do właściwego leczenia neurologicznego czy psychiatrycznego.

Chodzi więc tylko o dzieci, które trafiają do poradni zbyt późno, lub nie trafiają wcale. A jest ich sporo. Znacznie więcej niż się nam wydaje. Najczęściej ich nie widzimy, bo... nie umiemy patrzeć.

Takim przykładem „przegapienia" była Elżbieta. Na drodze do całkowitego wykolejenia znajdował się również Krzysztof. A przecież i Krzysztof i Elżbieta przejawiali cechy, które powinny natychmiast wzbudzić czujność nie tylko psychologa, ale nawet mało doświadczonych pedagogów czy rodziców. Zarówno skrytość jak kłamstwo u dzieci są oznakami zerwania kontaktu, z najbliższym otoczeniem, świadczą, że dziecko zaczyna iść „własną drogą", najczęściej fałszywą. Podobnym sygnałem bywa często nagłe pogorszenie wyników w nauce u zdolnego ucznia.

Niestety, dotąd prawie we wszystkich naszych szkołach panuje pogląd, że idealnym uczniem jest dziecko przystosowane, układne i pilne, osiągające równie dobre oceny ze wszystkich przedmiotów. Natomiast dzieci wykazujące nadmiar energii, wyładowujące swój nadmiar żywotności nie zawsze w sposób wzorowy, które mogą przy tym zdradzać wybitne, ale jednostronne zainteresowania i uzdolnienia, dzieci nadmiernie samodzielne i wykazujące nieustępliwość w swoich przekonaniach — uzyskują ujemne etykietki i na tym często choć przecież nie zawsze — kończy się rola wychowawcza szkoły. Metody stosowane w szkołach, jak lekcje wychowawcze, czy nawet najbardziej serdeczne rozmowy „w cztery oczy" nie zawsze przynoszą pozytywne rezultaty.

Te jednostki właśnie najczęściej popadają w pogłębiające się konflikty z kolegami, gronem nauczycielskim i rodzicami. Konflikty prowadzą do manifestacji „zbuntowanej młodzieży", a ponieważ indywidualnie trudno się buntować, więc kończy się zazwyczaj uczestnictwem w młodzieżowych bandach chuligańskich i przestępczych, ucieczkami z domu, lub próbomi „wyżycia się" seksualnego

Prawdą jest, że często opamiętanie przychodzi samo z wiekiem. Ale nawet wtedy przychodzi ono późno i nie da się już nadrobić straty czasu, naprostować wypaczonego poglądu na świat i życie. Płaci się wtedy bardzo wysokie ceny za powrót do normalnego życia.

Z życiorysu ludzi utalentowanych genialnych wiemy, że wielu z nich nie było w stanie ukończyć normalnej szkoły. Wyrzucano ich bo nie mogli się przystosować do przeciętnych warunków. Nie wiemy jednak, niestety — gdyż nie ma takiej statystyki — ilu ludzi utalentowanych odeszło nic po sobie nie zostawiając. Ilu z nich skończyło swe życie w alkoholiźmie, w zakładach psychiatrycznych, w więzieniach, w bójkach lub zwykłym samobójstwem.

Pamiętajmy o tym, że w większości wypadków zwanych w szkole „trudnościami wychowawczymi" chodzi o dzieci ponad przeciętną miarę zdolne i aktywne życiowo, lub o dzieci wybitnie wrażliwe. One to zazwyczaj sprawiają najwięcej kłopotu. To są dzieci o których potocznie się mówi, że mogą zajść wysoko, lub upaść nisko. A o tym, w którą stronę pójdą, bardzo często decyduje czujność wychowawców lub rodziców.

BOLESŁAW LESMAN

Dalszy ciąg ze str. 5

Marzy o garnku bigosu i chciałby zobaczyć swoje stopy, ale nie może na stojąco. Stryj ma podobno największy bandzioch w tej części Europy.

Maurycy ożywił się.

— I największego konia, specjalnie hoduje się tego zwierzaka, karmi się i przyzwyczaja do noszenia wielkich ciężarów. Koń służy pod stryjem dwa lata, potem zawsze kupowali te zwierzaki Żydzi z Ostachowa, bo każdą platformę ciągnęły.

Justyn zaciekawił się.

— Wszystko to cacy, ale w jaki sposób stryj dostaje się na tego konia trojańskiego?

— Po schodkach, panie profesorze, zrobili w stolarni z dębiny.

Madam milczała przez całą drogę.

Dwór w Olszynie, choć ozdobiony kolumnami i rozległy, ani się umywał do zalesiańskiego pałacu. Był już stary, spękany i mroczny. Hrabia zamierzał przenieść się zaraz po wojnie do Zalesia, głowa rodu powinna mieszkać jak najbardziej reprezentacyjnie.

Obaj Wilczkowie i Madam poszli przywitać się ze stryjem. Justyna, który nie należał do grona krewnych, poprowadził lokaj na stancję olszyńskich profesorów. Szedł ciemnymi korytarzami trochę zawiedziony, nie witano go z otwartymi ramionami. Spotkanie z kolegami po fachu wypadło zupełnie inaczej niż sobie wyobrażał, przynajmniej tak było na początku. Spodziewał się błyskotliwej, inteligentnej rozmowy, wzajemnego badania się, szermierki słownej, tymczasem zastał dwóch znudzonych młodzieńców, rozłożonych na żelaznych łóżkach. Przystanął w drzwiach trochę zaskoczony.

— Mówi się dzień dobry, jak się wchodzi do cudzych apartamentów — mruknął niechętnie szczupły blondyn.

— Dzień dobry panom, przyjechałem właśnie z Zalesia...

— Wiemy.

— Uczę Bogusława i Maurycego.

— Powiedz pan coś ciekawego — blondyn westchnął z rezygnacją.

Ten drugi, pucołowaty szatyn przyglądał się uważnie Justynowi. Trwało to dłuższą chwilę, wreszcie szatyn wstał i wyciągnął rękę.

— Konrad Tyzenhauz, witam, może pan usiądzie, nie, na tym krześle, to podstawiamy wyłącznie wrogom, jest wywrotne.

Blondyn zerwał się z łóżka, wykonał kilka przysiadów, włożył następnie marynarkę, podciągnął krawat i przyczesał włosy.

— Marek Studnicki, urodzony nie wiadomo po co i stanowczo za późno. Wódkę pan przywiózł?

— Pojęcia nie miałem, że panowie...

— No nic, za pierwszym razem można darować, Konrad otwórz śpiżarnię!

Konrad podskoczył trzykrotnie, szafa otwarła się sama. Marek napełnił trzy szklanki wódką.

— Buch! Mów nam ty, proletariusze wszystkich dworów łączą się! Taki już u nas obyczaj.

— Nie najgorszy, a dużo macie uczniów?

— Za dużo. Samych Wilczków będzie coś pięć sztuk, jest tu jeden Śmiarowski, licealista podobno, ale na razie tabliczki mnożenia nie może się nauczyć, dalej mamy Grzymułtowskiego, niegłupi nawet, Chokoszewska, taka sobie, dupa spod Baranowicz, Rastawicki, co ci zresztą będziemy gadali, sam zobaczysz tutejszą menażerię.

— Ty, jak ci tam, a Młodą Polskę znasz? — zapytał Konrad — moja wiedza kończy się jak uciął na pozytywiźmie. Dalej nie było, bo nasz profesor umarł, a z mniej ważnych rzeczy wspomnę wybuch drugiej wojny światowej.

— Umiem, odwalę za ciebie. Masz bryki z łaciny, czy, broń boże, znasz łacinę?

— Bądź spokojny, młodzieńcze, nie będziesz musiał pracować, mam bryki.

Studnicki przyglądał im się z wyraźnym lekceważeniem.

— Nierób nierobowi zawsze dopomoże, dobraliście się, tylko ja jeden pozostanę samotny na wieki, w całej okolicy nie ma ani jednego specjalisty w dziedzinie nauk ścisłych.

Zabrzmiał ręczny dzwonek. Justyn zdziwił się.

— Zupełnie jak w szkole, komu się pali?

— Gargantua wzywa swoją sforę do salonu, zawsze wyjdą z nor głodne szczury, musimy iść, panowie.

— Codzienna zbiórka i adoracja przed obiadem — dodał Konrad.

Salon olszyńskiego dworu zaskakiwał starannie wyreżyserowaną niedbałością. Podłogi przykrywały skóry zdarte z jeleni, dzików, wilków i najbardziej zasłużonych psów myśliwskich. Na ścianach pastelowe obrazki — sceny z życia towarzyskiego wyższych sfer w guście Watteau: dusery, ukłony, wdzięczne przegięcia, przyklęki, całowanie rączek i barokowe tańce na łonie ufryzowanej natury. Sielankowe obrazy przetykane były głowami ubitej zwierzyny. Uśmiech zalotny — kły dzika, pogodny menuet — smutna głowa sarny, niewinny pocałunek — pysk wilka. Mnóstwo stolików poustawianych dowolnie, foteliki rozrzucone niedbale po całym salonie — sprawiały wrażenie swobody, lekkiej, delikatnej, niewymuszonej. Licznie zebrane towarzystwo zamieniało co chwila wzajemne ukłony, panowie przysiadali się to tu, to tam, przystawali na moment przy paniach, tryskał dowcip, szła anegdota od grupki do grupki. Wielki, swobodny świat!

Hrabia Izydor uścisnął przyjaźnie rękę Justyna. W legendzie o panu na Olszynie nie było ani krzty przesady. Potężny brzuch przywodził mimo woli na myśl pokaźną beczułkę piwa.

— Państwo pozwolą, przedstawiam nowego profesora z Zalesia.

Justyn, pouczony przez Konrada, zbliżył się do hrabiny Hortensji, aby ucałować jej ręce. Reszcie towarzystwa miał się tylko grzecznie ukłonić. Hrabina Hortensja wyglądała przy Izydorze jak dziecinna zabawna, laleczka, która sama zamyka oczy, zostawiona przez roztargniona dziewczynke w wielkim fotelu. Czas działał w Olszynie w dwóch przeciwnych kierunkach. hrabia tył, hrabina chudła. Przyglądała się Justynowi z uwagą, wreszcie zaszczebiotała.

— Bogusław i Maurycy, wyglądają niczym dzikusy abisyńskie, mój kuzyn, książe włoski Aosta, zdobywał ten straszny kraj, pan pewnie słyszał o moim kuzynie Carlo, a chłopcy rosną, trzeba ich będzie pokazać niezadługo światu. Niechże pan ich ucywilizuje.

Na moment wytworzyła się przykra sytuacja. Obaj Wilczkowie przestępowali z nogi na nogę, szczęściem interweniował w porę hrabia Izydor.

— Chętnie porozmawiam z panem o moich bratankach, w przyszłym tygodniu, jeśli łaska.

D. c. n.

CZY ŁÓDŹ JEST PROWINCJĄ?

Dalszy ciąg

ze str. 2

jący w Łodzi, powtarzają to z dumą, bo w ten sposób dają do zrozumienia, że chociaż na przedmieściu, ale bądź co bądź mieszkają w stolicy. Nic więc dziwnego, że co ambitniejsze jednostki twórcze, zamiast tkwić na przedmieściu, wolą mieszkać w śródmieściu — i za wszelką cenę wywiewają do Warszawy. Wiadomo — stolica! Tak oto utrwala się zgubny dla wszelkiego samodzielnego rozwoju kulturalnego chorobliwy kompleks permanentnego prowincjonalizmu Łodzi w świadomości jej mieszkańców. Większy niż w innych miastach napływ wiejskiego elementu w granice naszego miasta wzmaga jeszcze niepomiernie tę świadomość prowincjonalizmu, utrwala ten społeczny kompleks niższości w stosunku do Warszawy, dla której Łódź może być tylko stacją tranzytową w wymianie wartości albo najdogodniejszym szczeblem w drabinie awansu społecznego, trampoliną do skoku w karierze osobistej w stolicy.

Policzmy, ilu ludzi, ile instytucji oraz inicjatyw twórczych od roku 1945 straciliśmy w Łodzi bezpowrotnie — nie podtrzymując i nie hodując w Łodzi samodzielnych ambicji twórczych — przeciwnie — nie dostrzegając ich, lekceważąc je, pozwalając im więdnąć wskutek ogólnej obojętności albo też zmuszając nosicieli tych ambicji do emigracji gdzie indziej z zapiekłym kompleksem gorzkiego żalu do miasta, nie bez racji nazwanego „złym", bo lekceważącego z nonszalancją każdą myśl żywszą i każdy wysiłek nieco szerszy, niż jego granice. Kto walczy, woła lub „bije się" o poszerzenie czegokolwiek w Łodzi lub powstanie w niej czegoś nowego, czemu dotychczas przykładu lub aprobaty nie dała Warszawa, ten uważany jest w naszym mieście co najmniej za śmiesznego Filipa z konopi (stosowniej należałoby powiedzieć: z pucu bawełnianego!), jeżeli wręcz nie za kłopotliwego, a nawet szkodliwego maniaka. Kraków, Poznań, Gdańsk, Wrocław, a nawet Bydgoszcz czy Lublin mogą być sobą, nie chcąc i nie zamierzając nigdy naśladować Warszawy — a tylko Łódź świadomie chce być jej przedmieściem i przyznaje się do tego z dumą, co tamte, hołdujące samodzielności miasta uważałyby dla siebie za uchybę.

Ktokolwiek chciał rozwinąć szerzej skrzydła swego talentu, myśli i wyobraźni, musiał uciekać z Łodzi: tak było z Tuwimem, Zawieyskim, Licińskim, Karpińskim. Ktokolwiek usiłował dłużej tu zostać i walczyć z miejscowym bezwładem tudzież uprzedzeniami, padał zamordowany urzędową obojętnością i powszechnym zapomnieniem: tak było z Władysławem Strzemińskim, tak było... Policzcie, ilu ubyło, a ilu przybyło w ciągu ostatnich kilku lat wybitnych wykładowców na wyższych uczelniach? A nasze teatry? Kto z nich ucieka, a kto w nich zostaje? I kto zapobiega, czy też może dopomaga w tym odpływie najwartościowszych sił twórczych i najbardziej obiecujących nazwisk z naszego miasta? Kto je eliminuje z ruchu kulturalnego naszego środowiska? Kto czy też co czyni uparcie z tego środowiska beznadziejnie permanentną, a więc autentyczną, prowincję czyli zadupie Warszawy?

Istotą prowincjonalizmu jest niesamodzielność, jest wtórność. Prowincjonalizm podobnie jak księżyc świeci światłem nie swoim, lecz zapożyczonym. Odbijanie cudzego światła, to cecha prowincjonalizmu, który polega nie na produkcji, lecz konsumpcji. Prowincjonalizm to nie mózg, ani serce, lecz jedynie żołądek i kiszki, nie byt, lecz odbyt. Czyż Łódź skazana jest tylko na to, ażeby pełnić mało zaszczytną rolę konsumentki i przetrawiaczki wartości stworzonych gdzie indziej i przez innych? Być światłem księżycowym? Satelitą kulturalnym zamiast jednym z samodzielnych słońc w bardzo ciemnym jeszcze naszym kraju?

Nie można dzielić kraju na żyzną kulturalnie stolicę i jałową pod tym względem prowincję. Zjawisko w ustroju prawdziwie demokratycznym to szkodliwy anachronizm. A taki anachronizm to antysocjalizm!

MARIAN PIECHAL

Gdzie Rzym, a gdzie Krym?

Felieton Mariana Piechala wydaje nam się bardzo dyskusyjny. Drukujemy go jednak, ponieważ tezy zawarte w tym felietonie wygłasza nie tylko autor rubryki „sedna rzeczy". Trafiają się w naszym środowisku łódzkim, zresztą nie tylko łódzkim, jednostki które same zapadają ciężko na kompleks tzw. prowincjonalizmu, a zarzucają go innym. Warto zatem poświęcić temu zagadnieniu kilka słów.

Marian Piechal pisze: „Powiedzmy prawdę: Łódź jako ośrodek kulturalny jest prowincją. I tylko d l a t e g o (podkr. nasze), że tego sama c h c e, że na to chętnie się godzi". W ten sposób, przy pomocy splotów samych zdań, nazwijmy je tutaj, „wyroczników", tzn. nie popartych żadnymi dowodami (prawie jedyną argumentacją jest zabarwienie emocjonalne) zbudowany jest cały felieton. Kłócić się z tym stanowiskiem trudno, po prostu ręce opadają. Bo jak odpowiedzieć na takie zdanie wyrokujące: Kraków nie jest prowincją, bo na to się nie godzi, bo tego nie chce. Zresztą według M. Piechala wszystkie miasta w Polsce (nawet Lublin), nie chcą być „prowincjami", więc nie są, a jedynie Łodzi dobrze jest w tej szatce ubogiego przeżuwacza cudzych dóbr kulturalnych. Cały wielki wysiłek łódzkich pisarzy, naukowców, nauczycieli, dziennikarzy, działaczy kultury zniknął felietoniście z pola widzenia. Nic, zero, kompletny zastój, a w Lublinie, czy Poznaniu akurat przeciwnie. I któż w to uwierzy?

Rzecz w tym, że M. Piechal stosuje pojęcie prowincjonalizmu w przebrzmiałym już znaczeniu. Autor felietonu o prowincjonalnej Łodzi wskrzesza stare pojęcie, które było modne przed wojną i jeszcze wcześniej, mówi o prowincjonalizmie przedmieścia, upośledzonego i zacofanego (ale nie dodaje, że zacofanego z powodu okrężnej polityki kulturalnej i społecznej zakładającej to zacofanie — nie dla Łodzi, jako Łodzi w ogóle, ale dla określonych grup społeczeństwa, robotników), mówi więc o przedmieściu zapatrzonym w słońce i tęskniącym do słońca. Istotnie Łódź, przede wszystkim Łódź pracy, była przed wojną prowincją, więcej, była kolonią. Poeta Łodzi widzi w swoim mieście dzisiaj, w zmienionych warunkach politycznych, społecznych i gospodarczych, w innych układach, symbol księżyca, miasta ożywionego cudzym światłem, a więc miasta martwego, przykłada więc stare etykietki do nowych treści.

Łódź jest ośrodkiem silnego regionu gospodarczego. Tym centrum od razu Łódź się nie stała, tak jak nie stała się od razu silnym ośrodkiem nauki. Mówi się teraz o rodzącym się regionie kulturowym łódzkim. I słusznie, gdyż nowe regiony gospodarcze, między innymi i łódzki, stają się zarazem regionami historyczno-kulturowymi. Te procesy odbywają się na naszych oczach. Czy autor felietonu o prowincjonalnej Łodzi nie dostrzega w swoim mieście ani jednego z procesów? Nie dostrzega rosnącej rangi chociażby swojego własnego środowiska? Nie dostrzega, że w klimacie Łodzi, który odsądza od czci i honoru, wyrastają szybko — dobrzy poeci i dobrzy aktorzy, naukowcy, kompozytorzy, publicyści, utalentowani nauczyciele? Przecież oni zastępują nieraz z powodzeniem ubytki. Widocznie nie dostrzega, skoro ogranicza zagadnienie do wąziutkiego pojęcia ambicjonalnego „chcieć lub nie chcieć". Chyba M. Piechal nie wyobraża sobie, że pewnego dnia zejdziemy się na Placu Wolności, my wszyscy „niepodlegli" i okrzykniemy się miastem — słońcem? Ale tu znowu trzeba coś dodać. W dzisiejszych układach społeczno-gospodarczych i kulturalnych miasta-słońce, owe stolice, choć ciągną zawsze jak magnes ludzi zdolnych, spełniają zupełnie inną funkcję niż kiedyś; bynajmniej nie wyłącznie „patronacką". Wszędzie, i na głuchej wsi i w głuchym miasteczku zapalają się światła, jeżeli już mamy nadużywać metafor Piechala; nie można mówić o odrębnych i wyizolowanych od reszty kraju „centrach", żyjących „własnym" „samodzielnym" życiem. Rzecz jasna, że będziemy mówić o bardziej lub mniej żywym środowisku i jeśli istnieje coś takiego, co nazywamy klimatem prowincji, to po pierwsze, oznaczać on będzie pewien stan zastoju i marazmu (a Łodzi chyba tego przy wszystkich wadach polityki kulturalnej zarzucić nie można), po drugie, charakteryzować będzie ludzi, którzy ten nastrój pielęgnują, po trzecie odnosić się będzie do tych, którzy nie dostrzegają procesów zapowiadających nowe życie, procesów nieraz bardzo złożonych. Najczęściej ludzie dotknięci kompleksem prowincji (anachronicznym dziś kompleksem) będą mówić najgłośniej o tym kompleksie, będą wyrażać pogardę dla własnego środowiska. „Prowincjałem" na pewno nie jest inżynier, syn chłopa, który wraca na zapadłą wieś.

Jeżeli zaś istnieje pojęcie regionalizmu, to dlaczego nie ma być pisma regionalnego? Czy to stanowi ujmę dla miasta i dla pisma? Czy epitet „regionalny" zawiera znaczenie pejoratywne? Czy poziom pisma nie zależy wreszcie od redaktorów i ludzi z nimi współpracujących? Jeżeli najlepsze pióra łódzkie na czele z piórem Mariana Piechala nie uratują poziomu pisma, to czy wina leży w tym, że pismo jest regionalne? Zresztą jeżeli chodzi o „Odgłosy" to rozchodzą się one także i poza województwem łódzkim. To samo dotyczy Wydawnictwa, jego książki, nasze książki, sprzedawane są w całym kraju, jak „Czytelnika" czy „Iskier". Wydawnictwo służy w największym procencie środowisku łódzkiemu, i dobrze, że mu służy, ale chyba nikt nie powie, że ostatnia książka prof. Baranowskiego — „O hultajach, wiedźmach i wszetecznicach" czy „Łódź" Ginsberta przeznaczona jest wyłącznie dla czytelników z naszego, województwa. A dziesiątki książek pisarzy łódzkich, również i prace Piechala? Czy są prowincjonalne? Na wszystkich świętych, w końcu chodzi o wartość produkcji wydawniczej i ona decyduje o randze Wydawnictwa, a nie to, że umownie nazywać go będziemy „typowym wydawnictwem prowincjonalnym".

Nieporozumień wynikających z fałszywego i anachronicznego stosowania pojęcia „prowincjonalizm" jest więcej. Uwagi M. Piechala o ujemnych skutkach „napływu wiejskiego elementu w granice naszego miasta" polegają tylko na nieporozumieniu. Więc co? Nie należało chłopów wpuszczać do miasta, gdyż jego rangę obniżają?

Z kim wreszcie polemizuje M. Piechal? Z jakimi siłami „ciemnymi", które paraliżują życie kulturalne w tym mieście, „zmuszają" wybitne jednostki do emigracji, jakby ze Szczecina czy Krakowa również nie „uciekano". Przecież dopiero co donosiła prasa, że Skuszanka i Krasowski „uciekają" z Krakowa do Warszawy. Wcześniej „uciekała" z Gdańska, także do Warszawy, połowa znakomitych twórców teatru wybrzeża. Z Krakowa uciekli świetni krytycy i profesorowie, podobnie z Wrocławia i Poznania. Czy można pozbawić ludzi zagwarantowanej im prawem wolności wyboru miejsca zamieszkania i pracy? Trzeba jednak odróżniać to, co jest ogólne, co występuje w całym kraju od tego, co jest specyficznie łódzkie. O ujemnych i specyficznych zjawiskach w naszym łódzkim życiu kulturalnym pisaliśmy nieraz (patrz choćby ostatni numer „Odgłosów" — „Miasto ubogich krewnych"), potknięcia zdarzają się nie tylko w Łodzi, w słonecznej Warszawie także, a również i w najgorszej dziurze. Przypisywać te potknięcia tajemniczym, anonimowym siłom (bo o kogo w końcu chodzi?), to już czysta magia. Trzeba mówić konkretnie.

W polityce kulturalnej Łodzi aż się roi od nieporozumień i błędów. Wytykamy je bez przerwy, krytyka zwłaszcza w tym zakresie, uzasadnia w dużej mierze rację istnienia „Odgłosów". Zresztą i nasze dzienniki, radio i telewizja także występują ostro przeciw nonsensom w naszym życiu kulturalnym, nazywając je po imieniu. Więc to nieprawda, że wszystko dookoła wali się i wszyscy śpią, a jeden tylko Piechal czuwa.

RED.

TELEwizja

ROZWAŻANIA *(po)-* TELEWIZYJNE

nieco eklektyczne

Witold Małcużyński pisał kiedyś (nie tak znowu dawno, aby nie pamiętać) w Trybunie Ludu o skutecznej i często — chociaż wcale nie zawsze — pożytecznej sile masowego oddziaływania telewizji na odbiorców, sugerując wykorzystanie do maksimum tego nowoczesnego środka percepcji. Podobne sugestie padały zresztą nie tylko na łamach Trybuny Ludu, zajmowały się tym i Nowa Kultura, i Polityka, i Ekran, i wiele innych pism, tygodników czy dzienników. Ten — wciąż niezbadany do końca, stanowiący novum socjologiczne, psychologiczne i społeczne — problem oddziaływania telewizyjnego — poza dociekliwymi naukowcami — intryguje równie dociekliwych, mimo że już w sposób nie tak ścisły i nie tak precyzyjnie obiektywny — publicystów, recenzentów oraz zwykłych sobie, szarych dziennikarzy. No cóż, oni też posiadają prawo wyrażania swoich opinii, bez względu na to, co sobie raczy sądzić ugodzony ambicjonalnie jakąś mało pochlebną recenzją twórca telewizyjny.

Od czasu tej charakterystycznej, bo cytowanej już powielekroć wypowiedzi Witolda Małcużyńskiego, minęło trochę czasu, w którym telewizja polska zdążyła przekroczyć pierwszy milion abonentów, rozszerzając znacznie swój zasięg terytorialny, i zwiększając prawie do dziesięciu milionów widownię telewizyjną.

Telewizja dociera coraz dalej, w najbardziej zapadłe kąty kraju. Prawem kontrastu antena telewizyjna nierzadko wyrasta na dachach słomianych strzech. Posiadanie telewizora stało się kwestą ambicjonalną nie tylko poszczególnych świetlic w Pikutkowie czy Pacanowie, posiadanie telewizora staje się często pewnym, szczególnym zresztą, kryterium w kształtowaniu opinii sąsiedzko-biurowej. Posiadanie telewizora oznacza wyższy stopień zamożności, nowoczesności, postępu. Stąd — na codzień: zadłuż się człowieku, weź pożyczkę w pracy, ale nie bądź gorszy od innych.

„TV jest jedynym środkiem masowej komunikacji, który pozwala na osobisty kontakt działacza z dowolnie licznym forum społecznym. Specyfika tego kontaktu wywodzi się z intymności odbioru: żadna sala nie pomieści audytorium tak szerokiego i zarazem chłonnego. Żadna inna trybuna nie pozwala rozmawiać z milionami w cztery oczy" — pisał w ostatnim numerze Polityki Tadeusz Kurek („TV — szansą interwizji"), w odniesieniu do polityczno-propagandowych możliwości telewizji.

To stwierdzenie pasuje jak ulał i dla innych funkcji telewizji. Wśród wielu mód, jakie do nas przychodzą, jedna wydaje się godną podtrzymania, rozwijania i umacniania — moda na wszelkiego rodzaju uniwersytety powszechne — **Uniwersytet Telewizyjny** bije na łeb, na szyję rekord ilościowy słuchaczy. Jest najbardziej licznym, masowym i powszechnym uniwersytetem. Można założyć na przykład, że wieczornych rozmów prof. Szczepańskiego wysłuchuje dziesięciomilionowe audytorium. Takiego audytorium nie zgromadzi największa sala w Polsce.

Telewizja posiada kolosalne możliwości upowszechniania wiedzy. I trzeba jej przyznać, że usiłuje to robić. Próby — pierwotnie nieśmiałe (jako jedna z pierwszych, wprowadzenie cyklicznych audycji: „Jak patrzeć na dzieło sztuki"), przekształciły się wraz z czasem i zdobywanym doświadczeniem w systematycznie emitowane, różnorodne programy — ściśle specjalistyczne: jak np. Telewizyjny Kurs Rolniczy.

Spośród najbardziej chyba popularnych i jednocześnie „chwytliwych", a więc spełniających kryterium masowości, są emitowane od niedawna programy: „Wieczorne rozmowy" prof. Szczepańskiego oraz prelekcje prof. Kumanieckiego „Szlakiem myśli racjonalistycznej". Zadają one kłam rozpowszechnionemu skądinąd mniemaniu, że obraz telewizyjny jest prymitywnym środkiem przekazywania myśli, że percepcja poprzez obraz należy do najniższej formy oddziaływania na wyobraźnię i intelektualną pobudliwość odbiorcy. Twierdzenie, że ludzie o prymitywnym poziomie umysłowym — ludy pierwotne i dzieci — odbierają wrażenia właśnie poprzez obraz (taką koncepcję rozwija np. Sorel) nie muszą wcale dyskwalifikować czy też umniejszać znaczenia telewizji.

Psychologowie na Zachodzie zwracają uwagę na szczególne niebezpieczeństwo, jakie zawiera w sobie obraz telewizyjny. Odbiorca przyjmuje gotową, przeżutą potrawkę myśli, spłyconą oraz uproszczoną, co w konsekwencji odzwyczaja go od samodzielnego myślenia.

Nie można jednak zaprzeczyć, że obraz telewizyjny — utrzymany we właściwych proporcjach, odpowiednio stosowany i łączony — posiada wielką szansę przekształcenia tej smutnej wizji w realne, konkretne dobrodziejstwo. Telewizja jest przecież w stanie zespolić wszystkie rodzaje i formy komunikacji; od emisji filmów poprzez programy rozrywkowe do wykładów naukowych. A telewizja polska, która nie jest telewizją przyporządkowaną prawom komercjalizmu, może sobie pozwolić na umiejętne łączenie i dobór programu.

W naszym programie telewizyjnym audycje popularnonaukowe i specjalistyczne osiągnęły już poważną liczbę, która w pewnym sensie równoważy ów zły wpływ. Polityka oświatowa, jej popularyzacja, wreszcie jej treść i forma — plus szerokie, masowe audytorium — to jest właśnie ta optymistyczna ewentualność telewizji.

Prof. Kumaniecki w swoich wykładach na temat rozwoju myśli racjonalistycznej połączył proporcje z treścią oraz formą, spełniając generalne założenia prawidłowej a równocześnie masowej percepcji. W taki sposób miliony odbiorców o różnym poziomie umysłowym, z różnych kręgów społecznych, i różnych zainteresowaniach zostali wprowadzeni w dzieje myśli ludzkiej, a telewizyjny obraz ułatwia im przyswojenie konkretnej wiedzy.

KOWALSKI

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

TADEUSZ MINC — Szczęsny w „Horsztyńskim", Belwedoński — w „Łaźni", Lucio — w „Miarka za miarkę", Stary Aktor — w „Akropolis", Howard — w „Śmierci komiwojażera", Brutus — w „Juliuszu Cezarze", Holofernes — w „Judycie", Dr Fabizius (Puba) — w „Bank Glembay".

Aktor, którego publiczność łódzka zna od 1949 roku, był jednym ze współzałożycieli Teatru Nowego. Studia aktorskie odbył w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi. Dał nam się poznać także jako zdolny reżyser w sztukach „Brytannik" i „Zaczarowana gospoda".

Reżyseria pasjonuje go obecnie na równi z aktorstwem. W chwili obecnej Tadeusz Minc przygotowuje się do reżyserii sztuki „Cyrano de Bergerac" Rostanda.

Współpracuje również z Telewizją i Polskim Radio.

Tekst i foto GERARD PUCIATO

ODGŁOSY tygodnia

SYMFONIA BOKSERSKA

Jedni lubią V Symfonię Beethovena, inni to, co sprawozdawcy sportowi nazywają czasem symfonią bokserską. De gustibus... Ale wydaje nam się, iż druga symfonia ma nad pierwszą swą niewątpliwą wyższość, że wyzwala w licznych tłumach publiczności instynkty twórcze. Oprócz takich popularnych form reagowania na piękno wynikające z bicia się dwóch panów po twarzach jak gwizd czy zbiorowe ryczenie, dają się słyszeć z tłumu widzów okrzyki dobrze świadczące o inwencji i polocie naszego społeczeństwa.

W czasie meczu bokserskiego Polska-Rumunia notowaliśmy wiele takich dowcipnych a gromko sformułowanych okrzyków. Oczywiście, wielu ludzi nie stać na stworzenie czegoś nowego i ci powtarzają stare hasła w rodzaju „zabij go", „Zrzuć go z ringu", „bij chama", „w ryło", „w bufet" itd. Ale są liczne jednostki umiejące dostosować twórczy temperament do potrzeb tłumu. Oto przykłady „Jej pomidora" (m. in. z Rumunii sprowadzamy tę właśnie jarzynę), „W uśmiech go", „uczesz go", „złam mu włosy" itd.

Kiedy nasz chłopiec, reprezentant wagi ciężkiej Władzio Jędrzejewski obficie krwawił schlapując krwią serdeczną duże połacie ringu odezwały się okrzyki w rodzaju „Władziu, nie bądź taki honorowy krwiodawca", „Bij tatusia", „Zalej mu oczy".

Oczywiście możemy powtórzyć niewielką część okrzyków — część jest niestety niecenzuralna. Lwia część. I to jest właśnie silny akcent tzw. atmosfery. Bo potem sprawozdawca potężnego organu sportowego napisze „Dla łódzkiej publiczności wielkie uznanie i brawa. Ona w dużej mierze przyczyniła się do tego, że mecz przebiegał w sportowej, uczciwej atmosferze". Istotnie...

MAW

ANEG—DOTY

do druku podał Sb Chruścielewski

KTO GRA?

Jeden z łódzkich nababów przyjmuje gości w salonie. Z obok położonego pokoju dochodzą dźwięki fortepianu.

— Co to za utwór — zapytuje któryś z gości gospodarza.

— Doprawdy nie wiem, która z mych córek gra? Jeżeli Sophie — to „rapsodia Liszta", jeżeli Annie — to na pewno „Ramona".

MELOMAN

Onego czasu letnią porą w każdy piątek w Helenowie na estradzie odbywały się koncerty symfoniczne, którymi dyrygował Teodor Ryder.

Jeden z Lodzermenschów — lekko podgazowany — spożywając kolację w ogrodzie przy stoliku, zawołał pikolaka i rzekł... Zanieś kapelmistrzowi mą wizytówkę i poproś go żeby zagrał mój ulubiony kawałek z „Czardaszki". Jednocześnie wsunął chłopcu w łapę 2 zł. Pikolak wykonał zlecenie i wręczył również Ryderowi owe 2 zł. Ryder natychmiast zareagował. Oddaj tę resztę 50 groszy twojemu panu i powiedz, że ten kawałek kosztuje tylko 1,50 zł.

TRUSKAWKI

Za czasów dyrekcji B. Bolesławskiego w Łodzi — z powodu nieszczęśliwej miłości dostał silnego wstrząsu nerwowego jeden z jego aktorów tak, że trzeba było go odesłać do Kochanówki. Po pewnym czasie aktor ów, jako rekonwalescent przyjechał z wizytą do Bolesławskiego, przebywającego wówczas na wylegiaturze. Gość zastał gospodarza przy grządkach truskawek.

— Czym pan dyrektor obsypuje te świeżo kwitnące truskawki — zapytał.

— Nawozem — padła odpowiedź.

— Nawozem? A ja przysypywałem cukrem. Teraz już doskonale rozumiem, dlaczego dostałem się do szpitala w Kochanówce.

MOCARSTWO PEDAGOGICZNE

Łódź — do niedawna jedno z najbardziej zaniedbanych pod względem oświaty miast w kraju — stała się po wojnie prawdziwym „mocarstwem pedagogicznym".

We wszystkich rodzajach łódzkich szkół pobiera naukę blisko 177 tysięcy dzieci i młodzieży. Liczebność jednego rocznika absolwentów szkół podstawowych i średnich przewyższa 21 tysięcy. Mamy blisko 4 tysiące nauczycieli.

Jednak szczególnie zyskuje Łódź na porównaniu z innymi dużymi miastami kraju (Warszawa, Wrocław, Kraków, i Poznań).

Mamy w Łodzi:

☐ najwięcej szkół podstawowych i liceów dla pracujących,

☐ najniższą ilość uczniów (38) przypadających na jednego nauczyciela,

☐ jedyni — poza Poznaniem — 100 procent szkół podstawowych z najwyższą klasą siódmą,

☐ najniższy — obok Warszawy — wskaźnik liczby uczniów na izbę lekcyjną (63).

Ustępujemy tylko Poznaniowi, i to nieznacznie, pod względem powierzchni „szkolnej" na jednego ucznia (1,31 metrów kwadratowych).

Ustępujemy tylko Warszawie, również nieznacznie, pod względem ilości szkół podstawowych specjalnych oraz pod względem ilości miejsc w przedszkolach (300 na 1000 dzieci).

Dorównanie innym miastom było zadaniem bardzo trudnym, mieliśmy bowiem znacznie gorszy start. Jeśli zważymy, że mimo trudności startu, potrafiliśmy w wielu wypadkach prześcignąć pozostałe centra wielkomiejskie, to potrafimy tym lepiej ocenić włożone w dzieło wysiłki i ich efekty.

WESOŁA ZABAWA

Grupa niedbale rozpartych chłopaków paliła w hallu ostentacyjnie papierosy, nie szczędząc zaczepek wszystkim przechodzącym. Oczywiście, na salę weszli dopiero w 15 minut po rozpoczęciu widowiska. W tym czasie część młodych ludzi zajmowała się już sykaniem a część szurała buciorami o podłogę. Wychodzących na scenę aktorów witały gwizdy i śmiechy oraz okrzyki: „Ale Sława Przybylska!!", „Wygłupia się!". Panował nastrój radosnej, beztroskiej zabawy. Z okazji wiersza „Dziewczynka z zapałkami" ktoś zawołał do aktorki, pani Zofii Petri: „Chodź tu, mam zapałki!". Znakomitemu temu dowcipowi towarzyszył grom ki śmiech.

Okazję do tak wesołego spędzenia czasu dał młodzieży montaż Tuwimowski, przedstawiany w sali Filharmonii, w ramach tzw. abonamentów teatralnych. Dla informacji: w dniu tym, tzn. 21 marca o godzinie 17,30 bilety posiadały następujące szkoły:

1. Zasadnicza Szkoła Włókiennicza (62 bilety) 2. Technikum Gumowe nr 2 (220 biletów) 3. Zasadnicza Szkoła Budowlana przy Zjednoczeniu Budowlanym (222 bilet.) oraz 4. Lic. Ogólnokształcące z Pabianic (287 biletów).

Studencki dowcip

Wśród łódzkich studentów krąży ostatnio następująca anegdota:

w szkole:

— *Kowalski, ile jest dwa razy dwa.*

— *Pięć.*

— *Siadaj, jesteś bałwan!!*

na uniwersytecie:

— *Ile jest dwa razy dwa? Słucham pana Kowalskiego.*

— *Pięć.*

— *Pan się myli, panie Kowalski.*

egzamin magisterski:

— *Ile jest dwa razy dwa?*

— *Pięć!*

— *Ciekawe...*

praca doktorska:

— *A dwa razy dwa?*

— *Pięć!!*

— *Genialne!!*

Otóż powyższy dowcip można interpretować dwojako. Studenci odczytują w nim satyrę na system dydaktyczny i naukowy wyższych uczelni. My natomiast zauważyliśmy z przerażeniem, iż Kowalski przez kilka lat nie nauczył się ile jest dwa razy dwa...

Redaguje Zespół • Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-19 • Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— • Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 974. III. 63. K-2

WYMAGAJĄCY BOŻEK EKSPORTU

Bożek naszego przemysłu nazywa się z łacińska — eksportem. Kto nie eksportuje — ten nie je. A jak jedzą, to znaczy — jak eksportują łodzianie? Nie tak znowu źle. Wartość produkcji eksportowej łódzkiego przemysłu wynosiła w roku 1960 — 1.500 mln. zł, w roku 1961 — 2.236 mln. zł, w roku 1962 — 2.760 mln. zł, plan na rok bieżący zakłada — 3.400 mln. złotych. Ale to tak założyli w Warszawie, nasz przemysł uważa, że może ten plan zwiększyć do 3.744 mln. złotych.

A właściwie dlaczego może? Po pierwsze dlatego, że podnosimy jakość naszej produkcji na eksport, po prostu łapiemy dzięki temu nowe rynki, wcale nie takie łatwe. 63 procent eksportu idzie na rynki kapitalistyczne, gdzie — jak wiadomo ze szkoły podstawowej — trzeba niejeden raz stawić czoła konkurentom. Nasze jedwabie, bawełna, czy odzież wytrzymują już konkurencję, są coraz lepsze. Podajmy dla przykładu, że nasze zakłady bawełniane podniosły procent tzw. „primy eksportowej" z 63 do 76.

Po drugie eksportują już i inne przemysły, nie tylko włókienniczy. Zaczynają spisywać się nam coraz lepiej metalowcy i chemicy, że wymienimy dla przykładu Łódzką Fabrykę Zegarów (250 proc. wykonania planu eksportu), Łódzkie Zakłady Wyrobów Gumowych i Obuwia Gumowego (125 proc.) czy Zakłady Włókien Sztucznych (141,3 proc.). Ale nie wszyscy spisują się tak dobrze, poszkapiły sprawę np. Zakłady Strzelczyka, Wi-Fa-Ma, „Elester", czy Łódzka Fabryka Urządzeń Budowlanych.

Eksportuje także przemysł skórzany, tekstylny, a także drobna wytwórczość, chociaż ta ostatnia nie najlepiej. Możliwości są nadal bardzo duże. Wystarczy zauważyć fakt, że dopiero 54,1 proc. naszych zakładów produkuje na eksport. Jeżeli i pozostałe wezmą się na ambit, jeżeli poprawimy zaopatrzenie w materiały pomocnicze i podstawowe, rozszerzymy wzornictwo, dobrze zainwestujemy i będziemy oddawać towar w terminie, sława naszego miasta popłynie przez kontynenty.

„BIAŁE KRUKI"

Można by powiedzieć, że wszystko przebiega jak najlepiej, — sprawnie i z rozmachem. Można by jeszcze dodać, że impreza cieszy się ogromnym zainteresowaniem, że nawet nie potrzeba było uciekać się do znanych chwytów propagandowo-agitacyjnych. Można by wiele gdyby nie kilka maleńkich dysonansów, które zakłóciły spokój organizatorów tej imprezy, a samym uczestnikom przyczyniły sporo kłopotów.

Mowa jest cały czas o Wiejskiej Olimpiadzie Czytelniczej 1962/63. Objęła ona 336 kół ZMW, skupiając ponad 8 tysięcy członków. Liczby te nie wymagają więc żadnych dodatkowych komentarzy. Do tego rzucę tylko jeszcze kilka innych. Oto w ramach olimpiady młodzież wiejska ZMW zorganizowała 87 nowych punktów bibliotecznych, 72 koła Przyjaciół Biblioteki, i o prawie sześć tysięcy nowych czytelników zwiększyła ewidencję gromadzkich bibliotek.

Jeżeli teraz dodam, że na terenie naszego województwa istnieje 1240 punktów bibliotecznych na 3502 wsi, to znaczenie imprezy czytelniczej ZMW-u jest jednoznaczne i również nie wymaga żadnych łopatologicznych objaśnień.

Niestety, Olimpiada Czytelnicza natrafiła na zupełnie nieprzewidziane trudności. Natury, — jakby tu rzec — raczej wstydliwej. Otóż, na liście książek konkursowych, znalazły się takie pozycje czytelnicze, których nie ma... w gromadzkich bibliotekach. Do tych „białych kruków" należą między innymi „Cichy Don" Szołochowa, Waldemara Babinicza — „Szeroki świat", „Nad Bugiem" Smolaka. A w takim razie jak wygląda „zaopatrzenie" wiejskich bibliotek w nowości czytelnicze?

KRASNOLUDKI

Sześć długich lat czekali mieszkańcy domu przy ulicy Gdańskiej 68 na odnowienie klatki schodowej. Wreszcie kilka miesięcy temu przyszły krasnoludki w pochlapanych kombinezonach i zabrały się do pracy. Rosły serca mieszkańców tego domu na widok szybkiej i skutecznej roboty. Wkrótce klatka schodowa lśniła i stała się powodem dumy połowy ul. Gdańskiej.

Niestety radość trwała krótko. Bo oto zjawiły się inne krasnoludki i zaczęły w nowo malowanych ścianach ryć otwory i wnęki na liczniki i przewody elektryczne. Fakt ten nabierze dodatkowego uroku gdy przypomnimy, że jeszcze przed malowaniem klatki schodowej zmieniono w tym domu napięcie ze 120 na 220 V i fachowcy stwierdzili, że nie ma potrzeby zakładania nowej instalacji elektrycznej.

Minie wkrótce 12-ta o może 15-ta rocznica ukazania się pierwszej notatki prasowej na temat bezsensownego braku porozumienia między różnymi instytucjami, która prowadzi do zrywania nowych nawierzchni ulic i niszczenia nowych ścian. Czytelników to już nudzi a krasnoludki jak dawniej marnują pracę, czas i pieniądze. Może tym razem uda się ustalić kto winien: Zarząd Bud. Mieszk., czy krasnoludki?

Winnego pytamy czy zamiast młotem walić w ścianę nie lepiej we właściwym czasie delikatnie lecz stanowczo puknąć się w głowę?